Rok VII. Lwów, Niedziela dnia 11. Stycznia 1880 r. **Tom X.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 2.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 zł. półrocznie 7 zł. kwartalnie 3 zł. 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie **17** zł. **60** ct. półrocznie **8** zł. **80** ct. kwartalnie **4** zł. **40** ct.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
L. 14 plac Halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie **7** m. z przesyłką **8** m. **50** f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie **10** franków.
W Krakowie skład główny w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

ABSENTEIZM.

Niech was nie razi obce, i nie zbyt u nas utarte słowo na czele artykułu... To o czem mówić będziemy, jest już niestety nasze, „krajowe“, chociaż może jeszcze nie polskie. Wada to nam bardziej niż innym szkodliwa — toż nie silmy się na wyszukanie dla niej polskiego wyrazu. Może ona szczęśliwie przeminie tak, że i nazwa jej zbyteczną się stanie.

Dobrze jest — znając już dokładnie własny — poznać obce kraje. Dobrze, jak to się mówi, „otrzeć się o ludzi“ w szerokim świecie, przypatrzyć się życiu i urządzeniom obcych narodów, przekonać się w czem one nad nami górują, w czem może od nas stoją niżej, ażeby potem w kraju na użytek własnego narodu obrócić te pierwiastki cywilizacyjne, jakie się z zachodu przywozi. Pisząc o absenteizmie, nie chcemy więc powstawać przeciwko zwyczajowi podróżowania zagranicą, który ma swoje bardzo dobre strony, zależne wszakże od stanu umysłu i... kieszeni podróżującego. Ale zwracamy się przeciwko przebywaniu po za krajem całemi latami, i stałemu za granicą zamieszkaniu. A jak rozmaite są takich „nieobecnych“ kategorje! Jednych wiąże do obczyzny sama niedorzeczna próżność, bo zdaje im się, że lepiej to i świetniej być ostatnim na salonie francuskim, aniżeli jednym z pierwszych na polskich salonach — że należąc do samego ogona arystokracji zagranicznej, większym blaskiem rody swe i nazwiska otoczą, aniżeli jaśniejąc obywatelską zasługą we własnym swym kraju. Innych trzyma w obczyźnie najpospolitszy egoizm: w kraju nie zawsze można się wyprosić od spełnienia tego lub owego obowiązku, od poniesienia tej lub owej ofiary. Napadną cię, wynudzą, i w końcu przecież coś wycisną. Mieszkając zagranicą jest się jako cudzoziemiec wolnym od ofiar pracy lub kieszeni, nikt ich od obcego nie wymaga... toż najwygodniej uciec przed obowiązkiem.

Ale są między „nieobecnymi“ i lepsze kategorje. Są tacy, których o zupełną obojętność dla kraju i dla losów narodu własnego posądzać nie można, którzy mają w sercu kącik zapełniony miłością ojczyzny. Ale jedni wmawiają w siebie, że przywykli do tego lub owego klimatu, więc zginą w naszem ostrem a zmiennem powietrzu. Drugim się zdaje, że nieustanną włóczęgą po zagranicznych zbiorach sztuki i muzeach, napawaniem się pięknościami klasycznej Italji, lub poetyzowaniem na wybrzeżach Hellady — nagromadzą w głowie i piersi niespożyte skarby, które kiedyś... kiedyś pójdą na pożytek kraju. I tak mija rok za rokiem, owo „kiedyś“ coraz bardziej się oddala, aż na jakiemś obcym cmentarzu stanie jeden więcej pomnik z polskiem nazwiskiem, oznajmiający światu, iż spoczywa pod nim człowiek wielkich nadziei, który zostawił ojczyźnie swojej... zeszyt podróżnych notatek i marzeń. Są wreszcie „nieobecni“ — pessymiści. Takiemu wspomnij o obowiązku powrotu do kraju, a powie ci: nie mogę patrzeć na to, co się w kraju dzieje! Błąd po błędzie w polityce — ciężkie grzechy zaniedbania w sprawach społecznych — brak energji w pracy ekonomicznej — spory wewnętrzne zamiast jedności działania — upadek ducha — brak dobrej wiary i wzajemnego zaufania — zamarcie patrjotyzmu: oto obecny obraz kraju! I pocóż tam wracać? I cóż ja tam zrobię? I jak tam wyżyć „uczciwemu człowiekowi“? Takimi argumentami odpiera ów „nieobecny“ natarczywe prośby rodaka, któremu przed chwilą, ujrzawszy go w obczyźnie, radośnie w ramiona się rzucił, i ze łzami w oczach go wypytywał, co się w kraju dzieje? I u tych na dnie rozumowania, którem przygłuszają wyrzuty własnego sumienia, leży nie co innego, jeno zwykły egoizm. Owa radość z jaką powita rodaka w obcym kraju, owe łzy w oczach, gdy o kraj pyta — to tylko mimowolne ruchy serca, jakie się objawiają koniecznie na wspomnienie ziemi rodzinnej i ojcowskiej chaty. Nad tym dobrym instynktem zapanuje rychło nawyczka do włóczęgi albo — wygoda, i łatwo znajdzie pozory usprawiedliwiające uchylanie się od obowiązków w kraju.

Nie mówimy tutaj o tych, którzy w obczyźnie rzeczywiście dla kraju pracują, a z jakąż pracują korzyścią! o artystach, którym dla samych studjów koniecznym jest pobyt w ogniskach sztuki, albo o takich jak Kraszewski, Zaleski, Lenartowicz, co wrogiego rządu wyrokiem z kraju wygnani, z obczyzny szlą nam pokarm duchowy, którym się naród w niedoli swej krzepi. Ale o tłumie tych dobrowolnych i niczem nie zmuszonych „nieobecnych“ — którzy za granicą spożywają owoce pracy ojcowskiej, rozrzucają dochody majątku swego, a bardzo często i sam majątek przetrwaniają. Jest to w ekonomicznym bilansie narodu oczywista i nie mała strata, bo dochody te w kraju spożyte, zamiast dolewać krople do morza bogactw zachodu, zasiliłyby polskiego rzemieślnika, rolnika, kupca, polskiego technika, otarłyby łzę nie jednej nędzy, mogłyby nie jedno dzieło publicznego dobra choć drobnym poprzeć zasiłkiem. Jest strata w bilansie społecznym i politycznym — bo nie mamy zbytku sił do pracy nad podźwignięciem się... a każda, znakomita czy zwykła, potężna czy bardzo skromna siła, jest tu potrzebną jako cząstka całego systemu pracy, jest pożądanym przybytkiem dla sumy sił narodu. Kto jak my, dopiero bytu dobijać się musi — kto tyle tylko dla przyszłości uzyska, ile *sam* zapracuje, kto zewsząd albo obojętnymi albo wrogami otoczony: ten ma do spełnienia o wiele więcej zadań i zadania o wiele trudniejsze, aniżeli ci, co mają własny byt państwowy. O czem wszędzie rząd sam pamięta, czemu wszędzie władze publiczne zaradzają, co one dźwigają i podnoszą — to w Polsce spada przeważnie na dobrowolną pracę i ofiarność. Toż uchylenie się jakiejkolwiek jednostki od obowiązku tej pracy i ofiarności, jest ubytkiem siły; a sił tych tak mało, a potrzeba ich tak wielka — że ciężkim jest grzechem dobrowolnie je uszczuplać.

Powracajcież „nieobecni“! Czeka was rodzinna wioska, a lud jak dawniej bywało, chlebem was i solą powita — i znajdziecie zaraz na miejscu szerokie, a jakże wdzięczne pole działania! Znajdziecie liczne grona rodaków i przyjaciół, którzy radzi będą każdemu nowemu przybytkowi — znajdziecie ruch umysłowy znacznie więcej ożywiony, aniżeli przed laty. A jeżeli wam się może chwilowo zatęskni za elegancją zagraniczną i komfortem, którym tutaj dorównać nie możemy, to znajdziecie wynagrodzenie w poczuciu spełnionego obowiązku i w wdzięczności rodaków, gdy dzisiaj — przyznajcie to sami! — nieraz wam walczyć przychodzi z odzywającym się głosem własnego sumienia!

DZIWNE KARJERY

POWIEŚĆ

Jana Lama.

(Ciąg dalszy.)

Nie będziemy ścigali duszy naszego bohatera na tych manowcach, któremi błąkała się w ponurej zadumie. Dosyć nam będzie dowiedzieć się, że wrócił do domu i ulżył sobie najpierw, zdejmując i wieszając w szafie czarny tużurek, i wkładając inny, bardziej zastosowany do gorącej pory roku. Następnie próbował jeszcze ulżyć sobie, wylewając na papier niesforny potok bujnych rymów, po którego szalonych fluktach różne gorżkie uczucia tłukły się jak skołatane burzą nawy, pozbawione steru, z poszarpanemi żaglami. Niebawem był tego cały arkusz, i wiersze były niezłe, ale nie wypowiadały nic więcej nad to, że autor ich musi być djabelnie niezadowolonym sam z siebie, skoro tak mocno narzeka na świat, na los i na ludzi. Nawiasem powiedziawszy, taki bywa sens moralny każdego pesymizmu, poetycznego i prozaicznego. Na pochwałę p. Stanisława powiedzieć muszę, że coś nakształt refleksji podobnej przyszło mu do głowy, i że nie odczytawszy nawet swego utworu, schował go do szuflady, gdzie byłby spoczywał dotychczas, gdyby nie pewna okoliczność, ściśle złączona z gospodarstwem domowem naszego poety. Oto, najmował on pokój z meblami, a wyprowadzając się w jakiś czas później, nie uważał za rzecz potrzebną wypróżnić szuflady, o której wiedział, że nie zawiera nic cennego. Po nim zaś odziedziczył pokój, stolik i szufladę inny poeta, znalazł ów manuskrypt i posłał do Warszawy, gdzie wydrukowano go w pewnem piśmie literackiem, umieszczającem prace pierwszorzędnych jedynie autorów. Poeta Nr. 2. otrzymał za to dziesięć rubli srebrnych (w papierach) i pochwalną wzmiankę w rocznikach literatury, a poeta Nr. 1. nie zubożał wcale.

Skazawszy swoje rymy na pogrzebanie w szufladzie, Stanisław przypomniał sobie, że pewien mędrzec rzymski zwykł był znajdować w nauce pociechę i zapomnienie bolów i trosk wszelkiego rodzaju. Wziął tedy z półki książkę, traktującą teoretycznie i praktycznie o konstrukcji rozmaitych mostów kamiennych, drewnianych i żelaznych, otarł dwie łzy, które mu stanęły były w oczach podczas owego potopu rymotwórczego, i wkrótce wśród rozmaitych formułek i figur o prostych i o krzywych liniach, wojna z Laputańczykami, konfitury różane i czarne oczy panny Natalji już tylko nakształt jakiejś niewyraźnej zmory ciężyły na umyśle ujętym w karby nieubłaganych i wyraźnych prawideł matematycznych.

Rzecz oczywista, że żaden romans nie mógłby się rozwinąć, gdyby wszyscy zakochani młodzieńcy postępowali w ten sposób. Ale jest muza, która czuwa nad powieściopisarzami, i nim jeszcze słońce tego dnia zaszło, muza ta wkroczyła do pokoju p. Stanisława, przybrawszy skromną postać pani Janowej, żony stróża kamienicznego, która usługiwała kawalerom, mieszkającym w domu.

— Proszę pana profesora, — rzekła — tu był jakiś pan sekretarz Klu... Kluska...

— Kluszczyński? — zawołał nasz bohater, zrywając się z krzesła, jak gdyby odkrył jaką wadę w jego konstrukcji i przewidywał że się zawali.

— A, może i Kluszczyński.

— Czemużeście go nie prosili na górę, Janowa! Tyle razy wam mówiłem...

— Jakżem go miała prosić, kiedy nie chciał iść, jeno mówił, *coby* pan profesor *zara* przyszli do niego, bo jakaś tam *publika* nie cierpi *zawołoki*.

— Pewnie »sprawa publiczna nie cierpi zwłoki!« Idę natychmiast, idę. Poczciwa ta sprawa publiczna! Pędzę bez zwłoki!

I nie wdziawszy nawet na powrót czarnego tużurka, Stanisław chwycił za kapelusz i wybiegł, zostawiając swoje gospodarstwo na łasce Janowej, która ruszała ramionami i dziwiła się w duchu, jak taki porządny człowiek, profesor, może zajmować się osobami tak dwóznacznej reputacji, i pędzić za niemi nie zamknąwszy na klucz pokoju. Zszedłszy na dół, nie omieszkała udzielić swoich uwag w tej mierze żonie listonosza, który mieszkał na podwórzu w oficynie. Listonosz zaraz potem przy szklance piwa rozmówił się o tem z woźnym, ten zaś nie będąc Milicjaninem z rodu, ale pochodząc z Chaocji, miał *une idée fixe*, że ktokolwiek mówi o zawołokach i o publice, ten dybie na jego posadę. Zaraz więc nazajutrz w południe doszło do wiadomości *ober* komisarskiej władzy, że niejaki profesor Wołodecki i jakiś sekretarz, jeszcze nie wyśledzony, knują spiski zmierzające do zamącenia dobrych stosunków między Chaocją z jednej, a Milicją i Landwerją z drugiej strony — w trzy dni zaś później *Rak*, organ opinii wychodzący w Sokołowie, umieścił artykuł dający niedwuznacznie do zrozumienia, że Wilków jest siedliskiem niebezpiecznej agitacji, importowanej z zagranicy, że knują się tam różne rzeczy, mogące narazić kraj na ogromne nieszczęścia, i że ludzie dobrze myślący powinni sparaliżować takie niecne zamachy, wskazując sprawców kompetentnej władzy. Byłoby szczególnie pożądaną rzeczą — mówił dalej *Rak*, ażeby wyłączny nadzór nad wychowaniem młodzieży oddano kościołowi, wówczas bowiem nie mielibyśmy pedagogów, pod pozorem miłości dobra *publicznego*, nie znoszącego *zwłoki*, zatruwających umysły młodociane jadem bezbożności, nieuszanowania świętej spuścizny ojców, zawartej w tradycji itd. itd.

Tymczasem, pedagogowi, który dał powód do całej tej chryi, i który w tej chwili pędzi na przedmieście do dworku pp. Kluszczyńskich, sprawa publiczna — o ile ona rozgrywała się w Wilkowie — o tyle tylko wydawała się ważną, o ile pozwalała mu tego samego dnia po raz drugi zbliżyć się do panny Natalji. Wielkiem też było na razie jego rozczarowanie, gdy w bawialnym pokoju, zamiast swojego bóstwa zastał tylko p. sekretarza i jakiegoś młodego człowieka, bardzo ujmującej powierzchowności, którego jedyną może wadą było, że ruszał się i mówił nieco z pańska, grzecznym był z pańska, a w danym razie, nadskakującym z pańska. Był to słuszny mężczyzna o szlachetnych rysach twarzy, o przenikającem spojrzeniu, i nosił czarny zarost starannie utrzymany. Do tych szczegółów, które Stanisław spostrzegł bez niczyjej pomocy, dodał p. sekretarz wiadomość, że jest to dr. Mitręga, nowy nabywca i wydawca *Orędowniczki Wilkowskiej*.

— Jakto, rzekł, czyliż Kosturski...?

— Kosturski panie tego, zostaje w redakcji, ale to widzisz pan, potrzeba większej *forsy*, ażeby sparaliżować Skirgiełłę, który nie żałuje pieniędzy na *Postęp Wilkowski*, i pan doktor który zarówno z nami kocha sprawę publiczną, przyszedł nam w pomoc swojemi funduszami, i swoim talentem. To drugi Girardin, panie tego, drugi Gambetta, a arystokracji nie cierpi, panie tego! Ale, do rzeczy. Panie Stanisławie, powiedz mi czy jesteś demokratą?

— Dokazałbym nie małej sztuki, gdybym chciał być arystokratą.

— A co, nie mówiłem doktorowi? To zacna dusza — chodź tu Stasiu, niech cię uściskam! Widzisz, ja mówiłem, że możemy liczyć na ciebie, jak na Zawiszę. Otóż jutro robimy zgromadzenie wyborców, i wybierzemy komitet, który nie dopuści do wyboru dr. Ciemięgi, bo to panie tego, figura Skirgiełły. Lista członków jest już wydrukowaną; masz oto dwieście egzemplarzy; tylko pamiętaj ażebyś przyszedł, i ażebyś zaagitował między kolegami profesorami i innymi znajomymi, niech także przyjdą, i niech każdy oddaje tę listę czerwoną. Lista Ciemięgowców, pamiętaj, będzie zielona — dowiedzieliśmy się o tem z drukarni. A możebyś tak szepnął na ucho chłopakom, niechby przyszli na galerję i sykali, gdy będzie mówił Ciemięga, a jak my będziemy mówili, to niech krzyczą: Wiwat kandydat narodowy!

— Ale któż jest tym... kandydatem narodowym? — zapytał pedagog, odurzony wirem akcji politycznej, w którą go wciągano, a nieposiadający się z radości, że ojciec panny Natalji daje mu takie dowody zaufania i sympatji.

— Już ty się tem nie turbuj, kochany Stasiu! — zawołał sekretarz, całując go w policzki — Idź tylko, i spisz się gracko! A nie zapomnij: nasza lista czerwona; antinarodowa zielona! Idź-że, a zwijaj się, i daj mi znać około południa, co zrobiłeś.

Staś wyszedł, pożegnany po ojcowsku przez sekretarza, i wymieniwszy uścisk ręki z dr. Mitręgą, który go zapewnił, że będzie uszczęśliwionym, jeżeli będzie mógł pielęgnować nadal tak miłą znajomość.

— A co, panie tego, nie mówiłem? — zawołał tryumfując sekretarz po odejściu swego młodego przyjaciela politycznego. Mamy już dwieście głosów jakby w kieszeni, bo to najpierw profesorowie, to prawdziwa inteligencja, a powtóre pytam szanownego doktora, który też ojciec rodziny zechce zadzierać z profesorem na tydzień przed egzaminami, ażeby jeszcze chłopcu palnął dwójkę? Ho, ho, znam ja moje miasto, i nie Skirgielle zaczynać ze mną!

— Co do mnie, przyznam się, że nie pojmuję, dla czego panowie wszyscy widzicie uosobienie zasad arystokratycznych w Skirgielle. Przecież nie on jeden tylko jest hrabią!

— Ale panie... on panie tego... — prawił sekretarz z miną niezmiernie tajemniczą, nachylając się do ucha swemu gościowi.

— Co, panie?

— On... dąży do.... dyktatury!

— Ha być może, ale widzimy przykłady w historji, że dyktatura zawsze najściślej łączy się z demokracją. Kto chce sam dyktować prawa, ten musi wpierw poucinać wszystkie głowy, które się wznoszą nad ogół. Co do mnie, miałem dziś zaszczyt wyjaśnić panom obszernie na zgromadzeniu w redakcji, jak dalece i z jakich przyczyn jestem przeciwnikiem Skirgiełły. Swoją drogą atoli nie miałbym nic przeciw temu, gdyby mu się udało zostać dyktatorem, i gdyby poucinał pewne głowy. Uważaj pan, panie sekretarzu, że w takim razie my mielibyśmy do czynienia już tylko z jedną głową hr. Albina!

— Jak Boga kocham, panie tego, taki prawda! Więc pan doktor sądzisz, że w gruncie rzeczy, niechajby i Ciemięg...a

— Cóż znowu! Ciemięga jsst duszą i ciałem zaprzedany Skirgiełłom, a co innego jest, jak nadmieniłem, skorzystać z czyjej dyktatury, i co innego znowu podawać mu rękę do dopięcia celu. W polityce, panie sekretarzu, najprostsza droga jest najpewniejszą, i dla tego hasłem naszem być powinno: Precz z Ciemięgą, precz ze Skiergiełłami! Ale już późno, czas spocząć, jutro czeka nas zadanie nie lada! Dobrej nocy szanownemu sekretarzowi!

— Do widzenia z kochanym doktorem! Tak, tak, precz z Ciemięgą, precz ze Skirgiełłami! Ten Mitręga, to tęgi człowiek, — powtarzał sekretarz, udając się do spoczynku — ale bezemnie, niczegoby nie dokazali. Niechno Wołodecki sprowadzi mi profesorów, a zobaczymy, która lista przejdzie, czerwona, czy zielona!

Na zakończenie tego rozdziału, niechaj mi będzie wolno popełnić jedyną niedyskrecję. Oto dr. Mitręga, gdy przybył do hotelu, w którym zajął tymczasowo mieszkanie, zastał czekającego przed drzwiami »numeru« lokaja w liberji, który oddał mu bilet w kopercie, ozdobionej koroną z dziewięciu perełkami. Na guzikach liberji powtarzała się ta sama korona, a pod nią, o ile mię moje wiadomości heraldyczne nie mylą, błyszczał »Palemon«, od pięciuset lat jak wiadomo, herb hrabiów Skirgiełłów.

Bilet zawierał lakoniczne wyrazy:

»Co słychać? A. S.«

Dr. Mitręga zawołał lokaja do pokoju i wyjął z nécessaire podróżnego bilet i kopertę, ozdobioną owym tak mało pretensjonalnym znakiem, który w Anglji i we Francji przedstawia koronę margrabską, a w Milicji i Landwerji, Hidalgowską, wojewódzkiej równą. Odszukawszy jeszcze atrament i pióro, dr. Mitręga odpisał:

»Słychać tylko tyle, że kandydatura Ciemięgi jest zachwiana. Zresztą potrzeba: pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy! M.«

ROZDZIAŁ II.

(Jako p. Stanisław Wołodecki, mitrężąc się przeciw Ciemiędze, mimowoli uciemiężył Mitręgę).

Słońce jak gdyby chciało dodać ognia ruchowi politycznemu w Wilkowie, wstało nazajutrz goretsze niż kiedykolwiek. Stanisław wstał także rozgrzany snami, w których czerwona lista członków komitetu, wetknięta mu w rękę przez sekretarza, przybierała chwilami tak wyraźnie urocze kształty panny Natalji, iż musiał się aż zbudzić, ażeby się przekonać o nieuchwytności sennej złudy. Wypił pospiesznie ranną kawę, zaopatrzył pugilares swój w znaczniejszą niż zwykle kwotę pieniędzy — takich samych pieniędzy, o jakie w poprzednim rozdziale wołał dr. Mitręga, ale nierównie mniej wydatnych co do ilości — i wyszedł z domu w tem przekonaniu, że jak Jakób przez tyle lat służył o Rachelę Labanowi, tak i on przez czternaście mozolnych godzin gwoli sekretarzowi obalać będzie Ciemięgów i Skirgiełłów, ażeby zdobyć serce rękę panny Natalji.

Zapas pieniężny, o którym mowa, okazał się bardzo pożytecznym, ze względu na gorąco bowiem trudno było agitować inaczej jak chyba zapraszając bardziej wpływowych kolegów do chłodnego, sklepionego pokoiku, stanowiącego atynencję pewnego sklepu korzennego. Tam okazały się wprawdzie niejakie różnice zdań — jedni mianowicie utrzymywali, że nic tak nie chłodzi, jak porter; drudzy dawali pierwszeństwo węgrzynowi, a jeszcze inni oświadczali się za czystym o ile możności wywarem z ojczystych ziemniaków — co się atoli tyczyło czerwonej listy, nie trudno było naszemu bohaterowi pozyskać dla niej wszystkie głosy. Sprawa poruczona mu przez sekretarza stała tedy jak najlepiej, kiedy się towarzystwo rozeszło i zostawiło p. Stanisława w sklepie w celu wyrównania rachunku.

Cóż to, — czy zanosi się na jakiś zjazd pedagogów, że was się tylu tu wysypało? — zagadnął go w tej chwili jakiś jegomość kupujący zapasy cukru i kawy.

— Ej, nie — ot, tak, przyszliśmy się ochłodzić — była odpowiedź.

— Nie wierzę ci Stasiu, nie wierzę, bo masz jakąś dyplomatyczną i wcale niechłodną minę!

Stanisław uśmiechnął się, bo insynuacja ta głaskała jego miłość własną. Od kilku godzin już powtarzał sobie w duchu, że ma niepospolity talent do dyplomacji. Nagle, myśl genialna przyszła mu do głowy.

— Proszę ciebie Władysławie, czy ty jesteś wyborcą?

Jegomość, którego bohater nasz nazwał Władysławem, zrobił głową znak potwierdzający, zapłacił za towary, które nabył, i miał się ku wychodowi. Stanisław pospieszył za nim, wziął go pod rękę, i szedł z nim w jego stronę.

— Bo to widzisz... chciałem ci coś powiedzieć, — rzekł tajemniczo. P. Władysław nie objawiał wprawdzie wielkiej ciekawości, ale słuchał cierpliwie, i w krótce znalazł się w posiadaniu wszystkich szczegółów tajemniczej misji powierzonej Stanisławowi.

— I powiedz mi, zagadnął go w końcu — zkąd racja, żebyś się tak zasługiwał Kluszczyńskiemu?

— Wiesz przecież, że bywam w jego domu... dla jejgo córki...odparł — Stanisław.

— Aha, rozumiem. Kochasz się w pannie Kluszczyńskiej i wyznajesz program polityczny przyszłego twego teścia. Rzecz godna Milicjanina!

— Mój kochany, wierz mi, że gdybym nie był przekonanym, że sprawa jest dobra i czysta, za nic w świecie nie dałbym się użyć dla niej!

— Co ty możesz wiedzieć, jaka to sprawa! Wierzaj mi, który zjadłem zęby na polityce w Wilkowie, że tutaj nigdy nikt nie może twierdzić z pewnością, czyli jaka sprawa jest dobrą i czystą, lub nie. Ale — dodał po chwili, jakby po namyśle — swoją drogą rad jestem, że wypłatacie figla temu Ciemiędze. Możebyś wstąpił do mnie, tobyśmy pomówili o tej sprawie. Powiadasz tedy, że wasza lista jest czerwona?

— Tak, czerwona, a tamta zielona.

W tej różnicy kolorów streszczało się niestety wszystko, co Stanisław wiedział dokładniejszego o całej akcji, do której się zaprzągł.

— Możebyś mi mógł dać jeden egzemplarz? — rzekł pan Władysław.

— Jak najchętniej; ale zostawiłem wszystkie w domu. Pojmujesz, że byłoby niezręcznością, nosić się z listami, które mają być rozdane dopiero wieczór.

— Hoho, jaki z ciebie przebiegły polityk! Ale ta twoja przebiegłość pozbawia mię jednego egzemplarza, któryby oddał w wieczór przy głosowaniu.

— Jakto, pozbawia! Chciej tylko potrudzić się do mnie, a dam ci tyle egzemplarzy, ile zechcesz! Albo nawet... wiesz jaka doskonała myśl wpada mi do głowy? Ty mieszkasz tak blizko sali wyborczej; ja mam jeszcze mnóstwo bieganiny przed sobą — możebyś pozwolił, kochany Władziu, żebym cały pakiet zostawił u ciebie, a wieczór zamiast wracać dodomu, wpadnę tylko na moment i oddasz mi depozyt.

P. Władysław zgodził się na to, i pakiet list wyborczych, starannie, do niepo-

*

znania, w inną bibułę owinięty, został ulokowany w jego domu, poczem nasz Stanisław poleciał na przedmieście donieść sekretarzowi, że nietylko zapewnił mu głosy wszystkich pedagogów, ale nadto pozyskał dla partji anticiemięgowskiej poparcie słynnego w mieście dziwaka a bardzo przytem wpływowego obywatela, p. Władysława Śmiechowskiego.

O rozkoszy! Sekretarza nie było w domu! Sekretarzowa była nie ubrana! Panna Natalja, czarująca w zgrabnym stroju porannym, przyjęła go sama jedna, wysłuchała całej relacji, i dała mu skosztować z wodą konfitur różannych, które mama wczoraj usmażyła! I dodała, czarodziejka, że przecież wypada jej osłodzić mu bodaj czemkolwiek gorżkie trudy zawodu publicznego.! Już, już omal nie naprawił wczorajszej nieśmiałości, gdy na nieszczęście sekretarzowa ukończywszy toaletę, pojawiła się i zapytała go, jak znajduje jej konfitury... Ale — co się odwlecze, to nie uciecze.

Tymczasem, dokąd to takim pędem cwałowała dorożka, w której siedział p. Władysław Śmiechowski, mając w kieszeni jeden egzemplarz czerwonej listy członków komitetu?

Ej, czy nie do drukarni *Postępu Wilkowskiego?* Do głównej kwatery zwolenników dr. Ciemięgi! (C. d. n.)

RÓŻNE ZABURZENIA MOWY

Alogia, Aphasia, Amnesia, Alalia.

napisał

Dr. Jan Stella Sawicki.

Amnezja, (utrata pamięci), jest objaw bardzo rzadki i ciekawy, najczęściej przytrafiający się po długich, osłabiających organizm chorobach ustrojowych, po wielkich krwotokach i utratach różnych organicznych płynów.

Kilka przykładów najlepiej może poznajomić z tą chorobą.

Jeden z przyjaciół moich, który był zawsze zdrów i posiadał umysł światły, w 52 roku życia dostał tyfusu, który w ciągu długiego czasu zagrażał życiu jego niebezpieczeństwem, a gdy nastąpiła rekonwalescencja, postrzeżono iż zapomniał zapełnie mówić, pisać i czytać, tak, że nawet nic nie rozumiał co mówiono do niego, nie poznawał żony, dzieci i przyjaciół. W ciągu wielu dni był to automat, przyjmujący jedzenie i napoje, lecz nie pojmujący nic co się na około niego działo. Było to latem. Lekarze polecili go zawieść na wieś i za wyjątkiem godzin przeznaczonych na posiłek, zostawiać samego w ogrodzie, wśród pięknej natury otaczającej go, na świeżem powietrzu. Po długim dość czasie zaczął nieco poznawać otaczających: powoli zaczęła budzić się pamięć z uspienia, przychodziły słowa, przychodziły frazesa i całe myśli do głowy. Praca umysłowa zaczęła się. Rekenwalescent zaczął pracować nad sobą, żeby powyciągać z zapomnienia dawne znane słowa, przyczem jedno przypominało mu drugie. Czasami pierwsza sylaba, czasami druga, czasem rym lub oddalone jakieś podobieństwo dawało klucz do następnego słowa. W sześć tygodni chory odzyskał mowę i dawną świeżość umysłową.

Lordat, profesor wszechnicy w Montpellier tak opisuje amnezję, która go samego dotknęła.

„Od dziesięciu lat życia ulegałem zapaleniu migdałków, które zwykle ciągnęły się każdy raz po dziesięć dni. Te anginy przychodziły co dwa lata. Gdym przyszedł do rozwoju sił życiowych perjodyczność ta minęła.

W 1825 r. 17 lipca po długiej pracy umysłowej dotknęła mię moja choroba gardła. W siódmym dniu jeszcze nie czułem chełbotania, co mnie bardzo zaniepokoiło. W chwili gdym najmniej się spodziewał prędkiego wyzdrowienia, ból gardła ustał nagle i poczułem, że mogę połykać z łatwością. Winszowano mi, lecz jako lekarz cieszyć się nie mogłem, bo niepokoiło mnie takie nagłe ustanie choroby. Oczekiwałem wypadków. W dwa dni nastąpiły boleści żołądka i ciągnęły się tydzień cały. Gdym był w piętnastym dniu całej choroby, nie czując żadnej boleści, lecz mając lekką gorączkę, połączoną z ciężkością głowy, zauważałem, że chcąc mówić nie mogę znaleść słów i wyrażeń mi potrzebnych.

Symptom ten zdziwił mnie mocno i naprowadził na różne smutne myśli. Chciałem wmówić w siebie, że ta trudność mówienia jest spowodowana jedynie cierpieniem chwilowem, lecz, że przy większej uwadze wróci mi łatwość mowy. Rozmyślałem o tem gdy mi zaanonsowano osobę, która przyszła do mnie dla dowiedzenia się jaki jest stan zdrowia mego. Otworzyłem usta, żeby podziękować za tę grzeczność. Myśl była gotowa, lecz organa, które miały myśl tę wyrazić zewnętrznie, nie słuchały mej woli. Obróciłem się z przestachem i powiedziałem sobie: więc jest prawdą, że nie mogę mówić więcej.

Trudność mówienia wzrastała coraz bardziej i po dwudziestu czterech godzinach zapomniałem wszystkie słowa, a jeżeli jeszcze które z nich pozostały, były mi nieużytecznemi, bo nie pamiętałem w jaki sposób należy połączyć je, żeby wyrazić myśl moją.

Byłem więc dotknięty afazją niezupełną, gdyż nie tylko mówić ale i rozumieć otaczających nie mogłem, nie pojmując znaczenia dźwięków, które słyszałem. Potrzeba mi było zbyt wiele czasu na przypomnienie jakiegoś słowa, a rozmowa szła zbyt prędko i dla tego rozumieć jej nie mogłem.

Możecie przedstawić stan moralny człowieka, który ze stanowiska swego jest w nieustannym stosunku z ludźmi, a który zachowując wszystkie swe zdolności umysłowe i wszystkie potrzeby intelektualne, został oddzielony od podobnych sobie, żyjąc wśród nich! Jest on świadkiem ich stosunków, czuje się im równym, a los okrutny nie pozwala mu mieć nic wspólnego z nimi! Gdyż nie sądźcie, iż zaszła we mnie jaka zmiana w czynności samopoznania. Czułem się wewnętrznie tym samym co i poprzednio, odosobnienie umysłowe, które mi ciążyło, smutek, ambaras i głupia mina ztąd pochodząca, nakazywały domyślać się, że jestem osłabiony umysłowo. Ten stan mój cieszył jednych, a smucił drugich.

Przeszło dość czasu nim zdołałem zdać sprawę sobie ze stanu mego. Gdym był sam jeden, rozmyślałem o moich zajęciach domowych, o moich pracach ukochanych. Nie doznawałem żadnej trudności w myśleniu. Przywykły od tylu lat do pracy nauczania, cieszyłem się, iż mogłem przynajmniej ułożyć w mej głowie plan przyszłej lekcji i że nie znajdowałem żadnej przeszkody w zmianach, które postanowiłem zaprowadzić w porządku raz przyjętym. Pamięć faktów, praw i dogmatów była taka jak w stanie zupełnego zdrowia.

Nie sądziłem więc, że jestem chorym; ambaras w którym się znajdowałem wydawał mi się snem. Rozmyślając o mym stanie chorobliwym i widząc jak się myśli rozwijają, jak się układają i jak wyrażenie ich jest łatwem, mówiłem codziennie do siebie — już mi nie pozostaje żadnego chorobliwego symptomu. Lecz gdy przychodzono odwiedzić mnie, gdy nie mogłem nawet wypowiedzieć: dobrydzień, jak się pan miewasz — wtedy to czułem całą doniosłość nieszczęścia mego; wtedy to przekonałem się, że praca mysli mych może się odbywać bez wyrazów, że uzmysłowienie idei było zupełnie co innego jak jej utworzenie i układ; dowiedziałem się, że z ὅλος całego, o którym niegdyś miałem wykład posiadałem tylko część wewnętrzną, a straciłem zupełnie część zewnętrzną. Tak jest, w czasie choroby czułem, że pojmuję wszystkie wyższe myśli, chociaż pamięć nie podsuwała mi żadnego słowa...

Uczucie kontrastu między tem czem byłem i tem czem się być zdawałem nasuwały mi różne smutne myśli. Upadek ducha, niemożność przyjęcia udziału w rozmowie, której byłem niemym świadkiem, upokorzenie którego doznawałem, wysiłki umysłowe czynione dla przypomnienia sobie znaczenia jakiegoś wyrażenia, które słyszałem, lub dźwięku tej myśli, którą chciałem wypowiedzieć musiały nadawać twarzy mej wyraz ponurej głupoty, który obudzał politowanie oburzające mnie niezmiernie. Miałem przekonanie, że nie jestem niższym z powodu mej wewnętrznej wartości, a jedynie z powodu formy mej zewnetrznej; lecz żeby dać możność uczuć to innym, potrzeba było przekonać się czy choroba moja była do uleczenia...

„Może myślicie, że mogłem pocieszyć się czytaniem. Bardzo się mylicie, straciwszy pamięć co znaczą słowa słyszane, nie rozumiałem też i znaków, któremi się one oznaczają. Składnia znikła wraz z pamięcią wyrazów, alfabet jeden mi pozostał, lecz dla tego żeby z liter utworzyć słowo, potrzeba było zacząć uczyć się jak dziecku. Gdym rzucił okiem na książkę, którą czytałem przed chorobą, przekonałem się, że nie mogę przeczytać nawet tytułu jej. Nie mówię o mej rozpaczy — wy ją pojmujecie. Potrzeba było sylabizować te słowa, na które patrzyłem i wtedy to miałem możność przekonać się jak jest głupią etnografja języka francuskiego.

Po kilku tygodniach głębokiego smutku i poddania się losowi, zauważałem patrząc z daleka na oprawę jednej książki w bibljotece mojej, że mogę przeczytać bardzo łatwo: „Hipocratis opera.“ Oblałem się łzami radości i użyłem tej mojej zdolności, dla nauczenia się mówienia i pisania. Nauka szła powolnie lecz postępowała, a w piętnaście dni skutki tej pracy były widoczne.“

I tak profesor Lordat nie mógł nawet pojąć mowy otaczających go, potrzeba mu było wiele czasu dla ocenienia każdego głosowego dźwięku, nie mógł pocieszyć się czytaniem a

nareszcie przez pracę nad sobą doszedł do powrotu do stanu poprzedniego. Potrzeba jednak dodać, że w czasie choroby inteligencja Lordata, pomimo jego twierdzeń, ucierpiała, bo musiał lekcje swe odczytywać wtedy, gdy dawniej odznaczał się świetną zdolnością do improwizacji.

Lordat, porównując dalej chorobę swoją z chorobą Brussoneta (afetyka) zastanawia się nad różnicą symptomatów.

1. U Brussoneta było zapomnienie słów niepoprawne. Chory uparcie używał wyrazów, które nie były w żadnym stosunku z nazwą przedmiotów. Czas przeszły i przyszły nazywał „dziś wieczorem". Sądził, że wyzdrowieje na przyszłą wiosnę i mówił „dziś wieczorem". Widząc że nie mogą zrozumieć go, chwytał kalendarz i pokazując na miesiąc maj powtarzał: „dziś wieczorem".

2. Chciał mi on mówić o jednej damie i jej pięknej córce, które znał dobrze i nie mógł znaleść innej nazwy jak: „klacze", a co dziwniejsza nie mógł nawet zrozumieć nieprzyzwoitości tego słowa zastosowanego do dam.

3. Przy wymawianiu słów, była u niego niedokładność, której u mnie nie było nigdy. Nie mógł wymówić słów, które dobrze słyszał, a imitacja głosu cudzego była dlań niemożliwą. Nie mógł naprzykład nigdy wymówić imienia swej córki Betsy. Gdym go uczył — wymawiał litery oddzielnie, lecz złożenie z nich słowa było dlań zanadto trudne. Nic podobnego nie było u mnie, w żadnej epoce choroby mojej, ani w czasie rekonwalescencji; każde słowo wymówione byłem wstanie powtórzyć natychmiast.

4. Widywałem często Brussoneta w czasie jego choroby i zauważałem, że symptomata te zawsze były jednakowe, i że stan jego nie zmieniał się. U mnie zaś chorobliwy stan poprawiał się wprawdzie powoli, ale się poprawiał. Nareszcie choroba Brussoneta skończyła się apopleksją, moja zaś wzięła inny kierunek.

5. Brussonet mógł czytać i pojmował co czyta, bo się gniewał gdy spotykał zdanie nie zgodne z jego. Ja zaś tego nie mogłem.

Przytaczamy to porównanie, bo świadczy ono bardzo dobitnie, jaka jest różnica między afatykiem i amnetykiem.

Pozostaje nam powiedzieć jeszcze o Alalii mechanicznej.

Alalja, jest to tylko utrudnienie lub nawet zniweczenie mowy, wskutek uszkodzenia aparatu ruchowego. Alalik pamięta wyrazy i sposób ich użycia, lecz mówić nie może, bo narzędzia mowy są zepsute. Alalik może pisać, rysować tak samo jak dawniej, a gdy aparat głosowy przyjdzie do stanu normalnego, chory przemówi.

Poznanie alalii nie przedstawia trudności, bo zaburzenie to ma zwykle charakter bardzo wybitny.

Z początku mej praktyki lekarskiej we Lwowie, miałem chorą lat 35, która bez żadnej widocznej przyczyny dostała bolów czołowych tak silnych, że spać nie mogła. Bole te powracały regularnie co wieczór lecz nie było przy tem ani zawrotów, ani mrówienia, ani utraty przytomności. W czerwcu chora obudziła się, mając prawą stronę ciała sparaliżowaną, lecz twarz nie była skrzywiona i mowa utrudniona. Poleciłem nacierania wodą zimną i w miesiąc chora zupełnie przyszła do siebie, paraliż znikł, a bole głowy ustały. W pół roku później wracając od chorej siostry zimową porą, przeziębiła się mocno i obudziła się na drugi dzień sparaliżowana z prawej strony; ale teraz już mówić nie mogła. Twarz jej była wyciągnięta w lewą stronę, połykanie trudne, usta na wpół otwarte, których chora nie mogła ani zamknąć ani otworzyć więcej; ból bardzo silny w częściach twarzy, a szczególnie w mięśniach przeznaczonych do żucia, wzrok z prawej strony osłabiony nieco, lecz bolu głowy nie było.

Badając granice porażenia, przekonałem się, że czułość była zmniejszona z prawej strony ciała, lecz zachowała się zupełnie na całej twarzy, ustach i języku. Twarz przedstawiała dziwne zjawisko: górna część była ruchoma: płakała i śmiała się, dolna była nieruchoma jak u trupa i nie przyjmowała żadnego udziału w grze rysów. Warga dolna była zwieszona i pokryta śliną, która wyciekała pomimo woli chorej. Chora nie mogła wystawić ust naprzód, to jest ani dmuchać, ani świstać, ani całować. Język leżał w ustach nieruchomy i chora nie mogła go ani podnieść do góry, ani schwycić w trąbkę. Porażenie podniebienia było lekkie i wyrażało się mową przez nos i leniwem kurczeniem się pod wpływem zadrażnienia.

Trudniej było ocenić stan gardła oddechowego. Nie było bezdechu — a więc mięśnia rozszerzające głośnię nie były porażone, inna rzecz z mięśniami rozszerzającymi. Głos był łatwy lecz cichy, chrapliwy, nosowy i monotonny. Starałem się ją zmusić do przejścia różnych tonów gamy, lecz pomimo wszelkich starań chorej głos wychodził zawsze ten sam, to mi świadczyło, że otwór głośni był zawsze jednakowy, a chora nie mogła ani ściągnąć, ani zwolnić strun głosowych.

Porażenie takiej wielkiej ilości mięśni, można objaśnić tylko uszkodzeniem węzła czaszkowego (bulba). W samej rzeczy tylko uszkodzenie tego organu i początku nerwów, które ztamtąd wychodzą, mogą jedynie objaśnić porażenie, które dotyka jednocześnie nerw ruchowy 5 pary, część nerwu twarzowego, nerwu podjęzykowego, i nerwu 11 pary idącego do głośni.

Nic więc dziwnego, że połykanie u chorej było bardzo utrudnione. Dla połknięcia płynu, chora napełniała z początku gębę płynem, potem odrzucała głowę w tył tak, że zawartość gęby wlewała się do połyku, przyczem część w chwili kurczenia się połyku, wylewała się na zewnątrz, ztąd też zdarzało się często, że część płynu dostawała się do głośni, następował kaszel i chora wszystko odrzucała. Z biegiem czasu jednak nauczyła się tak dobrze połykać, że krztuszenie się przychodziło bardzo rzadko. Ma się rozumieć, że o pokarmach stałych i mowy być nie mogło.

Niemożność zrozumienia dźwięków wydawanych przez chorą i połowiczne porażenie z prawej strony, było powodem, iż z początku sądziliśmy, że mamy do czynienia z afazją, lecz chora nauczywszy się pisać lewą ręką, kreśliła wyraźnie czego życzy sobie i odpowiadała na zapytania. Była to więc *Alalja mechaniczna* — bezgłosu z powodu bezsilności mięśni podniebienia języka i ust. Później, gdy chora mogła już poruszać nieco językiem i ustami — mowa natychmiast stała się wyraźniejszą i widać było, że pacjentka nie szuka słów, bo ma je w swojem rozporządzeniu.

Trudnosć wymawiania dotknęła nie tylko słowa, ale i litery. Między samogłoskami litera *A*, która nie wymaga żadnej pozycji specjalnej organów głosowych była wymawiana dobrze. Litery *E, I, O* i wszystkie spółgłoski, pacjentka wyrażała tylko monotonnem mruczeniem.

Chora ta wyzdrowiała, długo jednak szyć nie mogła, bo natychmiast dostawała kurczu w prawej ręce, a oprócz tego miała zawsze wielką trudność przy wymawianiu liter wargowych, bo dolna warga nie odzyskała swej miękkości, a głos został gruby i nosowy.

PRAWDZIWA MARJA STUART.

Czytelnikom naszym znane są ze sceny dwie postacie szkockiej królowy — jedna z nich płodem dojrzałego wówczas pióra Szyllera, druga zaś jest dziecięciem młedzieńczej muzy nieśmiertelnego naszego Juliusza. Dwa te twory, pomijając w tem miejscu ich wartość artystyczną, są na pierwszy rzut oka wprost sobie przeciwne, podczas gdy w rzeczywistości, jedna uzupełnia drugą. Szylerowska Marja ze łzami w oczach, skruszona, spogląda na samolubną, tylko swem uczuciem zajętą, Marję Słowackiego. Pierwsza z nich stoi po nad grobem, dokąd przybyła z więziennego czyśćca — druga bezmyślnie puszcza wodze i spieszy na łono rozkoszy, nie bacząc na drogę, która ma ją tam poprowadzić. Słowacki jest szlachetnym w swej młodzieńczej surowości — Szyller szlachetnym w dojrzałem pobłażaniu...

W tej mniej więcej też rozdwojonej formie przedstawiała się Marja całemu światu literackiemu. Badano, szukano i starano się odnaleźć rysy jej rzeczywistego charakteru. W Anglji i Francji z walk staczanych na tem polu, powstała specjalna o Marji Stuart literatura. Jedni przedstawiali ją ujemnie, inni idealnie. Nawet w Niemczech, w kraju krytyki historycznej, nie było dotąd odpowiednio wyczerpującego dzieła — aż oto dopiero niedawno pojawiła się praca p. Arnolda Gaedecke'go p. t. *Marja Stuart,* mająca wypełnić tę lukę dotychczasową. Książka ta przedstawia, po surowem zbadaniu materjałów, jasno i wyczerpująco dane historyczne o charakterze i losie Marji. Znaczenie tej książki powinno być tem wyżej cenione, że jest ona niejako stanowczem słowem, wypowiedzianem w tej kwestji, jakkolwiek niektóre punkta dotąd nie mogą być wyjaśnione.

Przejrzyjmy po krótce biografję Marji, jak ją nam prof. Gaedecke przedstawia.

Panujące wówczas silne walki stronniczne między protestantami a katolikami zawładnęły Marją jeszcze w kolebce. Zaledwie jeden rok miała, gdy spekulowano na jej rękę. Zaraz po śmierci ojca swego Jakóba V zostaje przez regenta hr. Arran przyrzeczoną Henrykowi VIII, królowi angielskiemu, dla syna jego pięcioletniego Edwarda. Przypadało to do gustu szkockim protestantom, nie podobało się jednak matce Marji – katoliczce. Przyrzeczenie więc to zostaje później uznane za nieważne, w skutek czego przychodzi do wojny, nie rozstrzygającej sporu. Marja więc wychowuje się we Francji i wyrasta pod względem umysłowym i fizycz-

nym na czarującą postać. Pięknością i wdziękiem i wykształceniem zachwyca wszystkich. Muzyka i taniec, konna jazda i polowanie — stanowią jej ulubione zajęcie. Posiada też nie mały talent poetycki, który gorliwie uprawia. Mając zaledwie 15 lat życia, została poślubioną Delfinowi, późniejszemu Franciszkowi II. Piękna, wiele obiecująca para! Rozwiązłe jednakże obyczaje francuskiego dworu nie przeszły bez wpływu na charakter Marji. Chęć zabaw, namiętność i lekkomyślność są w następstwie najwybitniejszymi rysami jej charakteru, przy pomocy których dużo się rzeczy wyjaśnia. Szczególniej wcześnie zdradza ona pewnego rodzaju sztukę udawania, podczas gdy jednocześnie okazuje przed oczami świata głęboką religijność.

Smutniejsze wszelako znaczenie miało pojawienie się, po wyjściu za mąż, angielskich herbów obok szkockich, które były oznaką jej gorączki panowania a zarazem hasłem nienawiści do Elżbiety, która w tem widziała napad na jej prawowitość. Od owego czasu datuje się gorliwe połączenie Elżbiety z niezadowolonymi przywódcami szkockimi i reformowanymi sekciarzami. Nic później już nie było w stanie zbliżyć tego rozdziału, jaki się z tej przyczyny utworzył.

Maryi związek z Franciszkiem IIim trwał krótko. Król umarł niespodzianie 5 grudnia 1560 r. Zaledwie 18-letnia wdowa, zdaje się, że rzeczywiście swego męża kochała, a zgon jego silnie ją dotknął. Z razu przybyła ona do Francji, gdy przekonała się jednakże, że matka jej Katarzyna Medici była o nią zazdrosna, postanowiła powrócić do szkockiej ojczyzny. Drogę obrała przez Anglię; Elżbieta wszelako sprzeciwiła się temu i odmówiła żądanego pasportu (Geleitsbrief), czyniąc go zależnym od ratyfikacji edynburskiego traktatu, który od Marji niczego więcej nie wymagał, tylko zrzeczenia się pretensyj do korony Anglji. Musiała więc z Calais statkiem udać się do Edynburga.

Minęły dni szczęśliwej młodości, a twarde życie o byt pełne burz i krwawych intryg zaczęło się rozwijać przed jej oczami. Wprawdzie powrót jej do ojczyzny był uroczyście w kraju obchodzony, weszła wszelako w stosunki przykre i poczuła wnet, że naturą i obyczajami obcą była w swej ojczyźnie. Zastała prześladowanie swej religji, królestwo osłabione, szlachtę na groźnem stanowisku. Chciała się stać popularną i lubioną; ciosy jednakże były zbyt liczne, aby przy swem usposobieniu była wstanie wszystkich uniknąć.

Zgodziła się nawet, tłumiąc antypatję religijną, na rozwój protestantyzmu, zachowując tylko dla siebie kult swej religji. Purytanie jednakże, z Knoxem na czele, wnet uznali za obrazę, że w pałacu królewskim odbywano służbę bożą według przepisów katolickich. Również napadali publicznie na sposób życia Marji — na jej zamiłowanie do polowania, muzyki, tańców. Zeloci gromili to z ambon i starali się podburzać naród przeciwko królowej. Niezadługo też wybuchło powstanie, które jednakże przy pomocy Murraja przytłumione zostało. Charakterystyczny jest w tem fakt, że Marja sama przyjęła udział w połączonej z tem powstaniem kampanji, albowiem lubiła w ogóle ćwiczenia fizyczne i niewygody życia obozowego.

Wszystko wszelako przewyższała chęć panowania. Raczej wolałaby, jak sama raz powiedziała, przestać żyć, niż rządzić, a zasady tej wiernie się trzymała do ostatniej chwili. Aby zostać uznaną przez Elżbietę za prawowitą dziedziczkę korony angielskiej, starała się z nią pojednać — Elżbieta wszelako była kobietą twardego charakteru i upierała się przy ratyfikacji traktatu edynburskiego. To też rozerwało się znowu to przyjacielskie zbliżenie. Wkrótce Marja znowu pogniewała się ze swym bratem, przez co pozbawiła się znacznej podpory. Przekonały ją o tem skutki. Młoda, piękna królowa nie pozostała bez konkurentów. Najprzód zjawił się Don Carlos, syn i dziedzic Filipa II hiszpańskiego, którego tymczasem purytanie potrafili oddalić. Drugim był hr. Leicester, znany powszechnie ulubieniec Elżbiety, którego nawet ona sama swatała, a którego właśnie dla tego Marja nie przyjęła. Nakoniec wystąpił lord Darnley, syn hr. Lennox, daleki krewny Stuartów. Dziewiętnastoletni młodzieniec, szlachetny, świeży i piękny, zdołał tak Marję w sobie rozkochać, że poczuła ku niemu namiętną miłość. Przymioty jego charakteru i umysłu nie harmonizowały z jego powierzchownością. Lekkomyślny, niedojrzały i mało znaczący człowiek, bez wykształcenia, bez dumy, bez siły charakteru — nie był zupełnie odpowiednim dla niej mężem. Podobał jej się jednak, i to wystarczyło — spokojnem wszelako, rozważnem zastanowieniem się Marja nie odznaczała się nigdy. Mimo więc wszelkiej opozycji protestanckiego lorda obchodziła ona swe połączenie z Darnlejem 25. lipca 1565 r. i pożyczyła mu tytułu królewskiego.

Zbyt wcześnie jednakże zakochana obudziła się z odurzenia, które ją poprowadziło do nierozważnego kroku. Darnley okazał jej się takim, jakim był rzeczywiście — słabym, nieokrzesanym i bez charakteru. To też stawał się dla Marji z każdym dniem nieznośniejszym... Miejsce miłości zastąpiła nienawiść i wstręt; nic więc też dziwnego, że ostatecznie przyszło do wybuchu. Marja miała sekretarza, Riccia, który jej pomagał w rządach i posiadł całe jej zaufanie. Niezależnie od tego, ogładzony towarzysko, był u królowej często i chętnie widzianym. To podrażniło Darnleya. Złączył się więc z pewną częścią spiskowców, wpadł z niemi 9. marca 1566 r. do salonu Marji, kazał znienawidzonego Riccia oderwać od stołu i w jej obecności zasztyletować. Fakt ten był tem brutalniejszym, że królowa znajdowała się w stanie błogosławionym, a sekretarz był wprawdzie jej powiernikiem, nigdy jednak nie był jej kochankiem. Gniew Marji za wyrządzoną jej obrazę łatwo pojąć, jednakże wolała ona go zrazu ukryć. Postanowiła zemścić się, ale w odpowiedniejszym czasie. Zanim przyszło do zupełnego zerwania z mężem, pojednała się z swym bratem, którego brak ciężko jej się dawał uczuwać. Wzmocniona tą nowo zawartą przyjaźnią, przystąpiła do zemsty. Wydostanie z męża nazwisk spiskowców nie wielką było trudnością; a dowiedziawszy się o nich, postanowiła ich wszystkich zniszczyć.

O dziwo! Zajęta jeszcze przygotowaniami do tej zemsty, spotyka na drodze swego ciężkiego żywota żądne serce kochającego człowieka, który ją na nowo rozkochał w sobie i stał się zarazem przyczyną jej zguby. Był nim Bothwell, reformowany szlachcic, obrotny, śmiały, zniechęcony, a jednak gwałtowny, chciwy sławy, surowy i występny. Królowa dla niego zapomina o wszelkich względach. Jakkolwiek dawno poślubiona, obmyśla wspólnie z Bothwellem sposób połączenia się. On ma trudności do zwalczenia. Z przyczyny zbyt bliskiego pokrewieństwa z swą żoną, zdołał on wymódz na niej rozwód. Jest więc wolnym — ale Marja? Niespodzianie zachodzi następujący wypadek: Darnley zapada na ospę. Pod wpływem tej okoliczności długo obmyśliwany plan dojrzewa. Bothwell jest jego wykonawcą. Marja go wszelako popiera. Jej talent komedjancki, którego jest mistrzynią, przychodzi jej w tym wypadku znakomicie na pomoc. Mimo żalu i wstrętu do Darnleya spieszy ona teraz do jego łoża, udaje najserdeczniejsze uczucie i skłania go do przeniesienia się z Glasgowa do Edynburga, gdzie go umieszcza w oddalonym domu po za murami miasta i odgrywa rolę siostry miłosierdzia.

Pewnego wieczoru wszelako — a było to 9. lutego 1567 r. — żegna się ze swym mężem w celu udania się do Holyrood na ślub jednej ze swych dworskich dam, której ten zaszczyt i tę przyjemność przyrzekła sprawić już dawno. Tymczasem Bothwell każe sprowadzić worki z prochem do pokoju króla — o północy całe zabudowanie zostaje wysadzone w powietrze. Nazajutrz z rana znajdują Darnleya z jego paziem pod gruzami w ogrodzie leżącego, z łatwemi do rozpoznania śladami uduszenia. Zamordowanie poprzedziło eksplozję.

Zarówno królowa jak i Bothwell byli widziani na weselu — tem więc się zabezpieczyli przeciwko wszelkim podejrzeniom. Tymczasem głos narodu z tej przyczyny nie zamilkł. Coraz głośniej wskazują Bothwella jako mordercę. Długo opiera on się tym posądzeniom, czem jednakże zdwaja moc podejrzenia. Ostatecznie, nie mogąc się dłużej wiwijać — staje sam przed sądem — współwinowajczyni wszelako postarała się o to, ażeby jednogłośnie uznano oskarżonego niewinnym.

Teraz bez przeszkody już poi się młoda para rozkoszą, gdyż jest usprawiedliwioną przed całym światem. W trzy miesiące po śmierci Darnleya, przystępuje Marja do zawarcia związku małżeńskiego z hrabią. Wtedy burza wybucha na nowo. Tylko pozornie ukoił naród swe oburzenie — teraz powstaje z podwójną siłą. Protestancka szlachta zawiązała konfederację dla obrony dynastji i prawa, zwołała wojsko i opanowała bez oporu Edynburg. Obudzeni ze snu miodowych miesięcy uzbroili się by szlachcie stawić czoło. Pod Corberry Hill przyszło do bitwy 15. czerwca 1567. Była to krótka, lecz nieszczęsna wojna. Opuszczona nikczemnie przez swych żołnierzy, królowa odwiezioną została w tryumfie do Edynburga, a tam przez pospólstwo zelżona na bruku ulicznym.

Następnie sprowadzono ją do zamku Lochlewen, gdzie traktowano ją z bezwzględną surowością. Lordowie prawie wyłącznie ujęli władzę państwa w swe ręce. Bothwell tymczasem uciekł do Danji, przez pewien czas zajmował się rozbojami morskiemi, aż nakoniec wzięty do niewoli, skończył w obłąkaniu występne życie.

Dnia 24. czerwca Marja została zmuszoną zrzec się korony na rzecz syna swego, któremu za opiekuna i regenta dano wspomnianego jej brata. Katolicka partja wszakże przyszła w pomoc uwięzionej królowej i postanowiła przy pomocy młodego Douglasa, brata władcy zamku Lochlewen, uwolnić królowę z więzienia. Plan się powiódł — i Marja zdołała skupić około siebie kilka tysięcy ludzi, z których pomocą chciała zażądać zwrotu przynależnych jej praw.

Murray rozbił wszelako jej nieudolną zbieraninę i Marja zmuszoną była szukać ratunku w ucieczce.

Ponieważ nie mogła w żaden sposób udać się do Francji, zwróciła się do Anglji i prosiła Elżbiety o opiekę. Była to niemiła dla niej niespodzianka. Wprawdzie nie odmówiła uciekającej pobytu, zastrzegła sobie jednakże, aby się oczyściła z ciążącego na niej podejrzenia o udział w zamordowaniu Darnley'a, zanim stanie przed jej obliczem. Marja zaprotestowała — nadaremnie jednakże. Następstwem tego zajścia był długi, zawikłany proces, podczas którego wykryto spisek nietylko na uwolnienie Marji, lecz zarazem i na zamordowanie Elżbiety. Marja mimo zarzutu o współudział w spisku, uparcie zapierała się, aż wreszcie na zasadzie kompromitujących wzmianek w kilku listach, została oskarżoną o zamach stanu i 25. października 1586 r. skazaną na śmierć. Parlament angielski potwierdził wyrok i żądał od Elżbiety, aby „dla obrony religji, spokoju państwa i bezpieczeństwa jej osoby“ takowy został wykonany.

Elżbieta długo się wahała. Wolałaby, aby Marja w skrusze błagała ją o przebaczenie, nie mogła się jednak tego od niej doczekać. Zwlekała z podpisaniem wyroku, aż oto nowa zbrodnia, w której nawet podobno udział miało wziąć francuskie poselstwo, przyspieszyła jej postanowienie. Jej doradcy zaś, lękając się, aby nie cofnęła swego podpisu, przystąpili czemprędzej do egzekucji.

Marja wysłuchała wyroku ze spokojem. Dziewiętnastoletnie więzienie, podczas którego przewłóczono ją z jednego zamku do drugiego, mogło wyrodzić w niej to przekonanie — jak sama utrzymywała — że śmierć może być tylko jej dobrodziejką. Całe jej zachowanie się na kilka dni przed śmiercią świadczy o rezygnacji, zasługującej na współczucie. Aż do ostatniej chwili zachowywała się spokojnie, nawet z łagodną wesołością, która zadziwienie budziła w jej wrogach. Prosiła o katolickiego kapłana — odmówiono jej jednakże przysługi.

W nocy przed spełnieniem wyroku Marja spała przez parę godzin — a następnie wybrała najładniejszą ze swych sukień, aby nawet przed katem stanąć w całej powadze królewskiego majestatu. Ostatnią godzinę spędziła przy ołtarzu w gorących modłach. Dnia 8. lutego 1558 r. o godzinie 8. rano, wsparta na swej służbie, opuściła więzienie i w dumnej postawie wstąpiła na szafot, który był wystawiony w dolnej sali zamku Fotheringhay. Jeszcze raz odczytano jej wyrok, wówczas Marja po raz ostatni przemówiła do otaczających ją. Oświadczyła jeszcze raz, że rada rozstaje się z życiem. Kiedy następnie według zwyczaju katolickiego zaczęła się modlić, zbliżył się — jako oznaka ówczesnego fanatyzmu — do niej reformowany ksiądz w zamiarze koniecznego udzielenia jej swej pomocy. Marja jednakże odmówiła mu, a gdy ten nie przestawał jej nakłaniać — nakazała mu milczenie. Głośno modląc się na kolanach wyczekiwała ciosu. Dwóch katów wtedy przyprowadziło ją do pnia, jeden z nich ułożył jej głowę, a drugi ręce na plecach. Podczas gdy królowa wymawiała te słowa: „Pod Twoją opiekę o Panie oddaję moją duszę“ miecz spadł — wszelako dopiero po drugiem uderzeniu odleciała głowa od kadłuba. Kat ujął ją, podniósł w górę i zawołał: „Boże! królowę Elżbietę chroń!“...

Tak skończyła — mówi autor — nie bez własnej winy, życie dumna i utalentowana księżniczka, która je zaczęła niezwykle rozkosznie. Marja Stuart mogłaby swe życie uratować, gdyby poświęcając swe zasady, przyznała się do winy i prosiła łaski królowej Anglji. Wolała jednak w imię zasad, którym służyła, życie oddać — o tyle też zasługuje na uznanie nasze.

Wiadomość o jej ścięciu obchodzono w Londynie z radością. Wszystkie dzwony Londynu zostały w ruch wprowadzone — a na ulicach palono ognie sztuczne. Obchodzono śmierć uwięzionej bankietami i uroczystościami, niby wyzwolenie od wielkiego niebezpieczeństwa.

Marja Stuart z przyczyny braku ruchu pozostając przez tyle lat w więzieniu, straciła swą powabną powierzchowność. Stała się otyłą, a włosy jej posiwiały — mimo to do ostatniej chwili zachowała wdzięk pociągający.

T. W.

WOŁY ROBOCZE

SZKICE PATOLOGICZNO-SPOŁECZNE

przez

Autora Kłopotów Starego Komendanta.

(Dokończenie)

Pan Jacek może mieć lat sześćdziesiąt kilka, jest średniego wzrostu, barczysty, ale trzyma się pochyło, ztąd obywatelski brzuszek jego wysuwając się trochę nieproporcjonalnie naprzód, daje figurze kształt litery *S*, będącej jak wiadomo jedną z kwalifikacji na urząd powiatowy. Duża, otwarta i czysto-polska twarz jego goreje rumieńcem, wąsy i bródka choć jasnoblond jednak już siwieją, a połyskującą łysinę z guzem na środku, łatają jak mogą szpakowate kosmyki włosów, idące z za uszu ku owemu guzowi. — W oczach tylko, w tych wypukłych i wypłowiałych niebieskich oczach, mógłby ktoś dopatrzeć pewnej szlacheckiej filuterji, owego z głupia frant, co to jak się pyta o drogę na prawo, z pewnością chce jechać na lewo, — ale ja uprzedzam czytelnika, że to tylko pozory; pan Jacek w swem życiu krętej drogi nie znał.

W tej chwili jest on nad wyraz uszczęśliwiony z oglądania najstarszego syna. Nie mogąc oderwać od niego oczu, co chwila bierze rękami oba jego ramiona i przypatruje się paniczowi Zdzisiowi i obserwuje najmniejsze szczegóły jego ubrania.

— No i cóż Zdzisiu, idzie tam?

— Bardzo dobrze wszystko...

— Prędko co dostaniesz?

— Na prowincją tobym już miał, ale ja nie chcę wysługiwać się w starostwie... Siąść, to siąść na dobrego konia od razu...

Stary pochodził po stancji, podumał, a zobaczywszy, że palą się dwie świece na stole, jednę zagasił.

— Nam i przy jednej dobrze, a to oni zaraz dwadzieścia centów rachują... Hej, hej — woła na służącego uchylając drzwi na kurytarz — Słuchajno mójty, przynieś też piwa dwa kufelki...

— Na co ojcu piwa?

— Zjemy sobie doskonałą kolacyjkę! Mam tu salceson, mam całego kuraka, chleb, masło...

— Ale fe! kto to widział? — przerywa syn — pójdziemy na dół do restauracji...

— Aaa ja nie mogę, ubrania nie mam... Widzisz ja sobie po gospodarsku w kożuszku... Musimy jutro póść do krawca, każę sobie zrobić surducik...

— Na co to ojcu? Na wsi co po lepszem ubraniu...

— Hm, zawsze jakoś wypada... Może trzeba będzie iść do twojego konsyljarza...

— Ej, to nie potrzeba, protekcja ojca jeszczeby mi zaszkodziła... A tu znowu obedrą za surdut, kiedy tam w Bochni daleko taniej będzie...

Przynieśli owo piwo, pan Jacek wydobył materklasy z podróżnego worka, wydobył myśliwski scyzoryk i zaczął krajać energicznie ów przechwalony salceson, z którego tłusty sok przez palce mu kapał.

— Sprobuj Zdzisiu — jakie to dobre — mówi zajadając z osobliwszem mlaskaniem. — Lecz widać, że ten wzorowy apetyt starego nie oddziaływa jakoś na syna, bo zawoławszy kelnera, każe sobie przynieść porcję befsztyku z restauracji...

— Odzwyczaiłeś się od naszego jedzenia, hę?,.. Jakże tam u hrabiego na owej recepcji? Pewnie mości dobrodzieju marcepany, pasztety, hę?... tańcowałeś z księżniczką?

— Tańcowałem.

— Tak jak wziąłeś w pół, mości dobrodzieju jak u nas, czy też z daleka przez rękawiczki...

— Wziąłem, i to dobrze wziąłem — mówi pan Zdzisław z pewnym tryumfem.

— A ona co? — pyta szlachcic pakując duże kawałki chleba do ust, od których aż mu się policzek wypycha.

— Nic, śmiała się... one to lubią...

— Ha, ha, ha, śmiała się? - mówisz — księżniczka się śmiała... To ty mości dobrodzieju w górę idziesz, o idziesz...

— Jeszczebym wyżej poszedł, gdyby było za co...

— A bój się Boga, bo ja ci to mało daję! Pięćdziesiąt reńskich na miesiąc.

— Cóż to pięćdziesiąt reńskich, głupstwo... Ja dwa razy tyle wydaję i jeszcze mi nie wystarcza...

— Dwa razy? — powtarza pan Jacek wytrzeszczając oczy — dwa razy po pięćdziesiąt — A zkądże ty masz?

— Jakto zkąd? — mówi pan Zdzisław oczyszczając nożem powierzchnię befsztyka z żółtka którego nie lubi — Czy ojciec nie wie, zkąd się bierze jak kto nie ma?

— No, no, zkąd?

— Pożyczam...

Stary aż podskoczył i za głowę się złapał...

— Ty pożyczasz? A gdzież jest taki dureń, z pozwoleniem, któryby ci pożyczył?...

— Ba, dziesięciu mam takich... Porządny młodzieniec a z szykiem, zawsze dostanie pieniędzy, aby tylko oddawał.

— A zkądże ty oddasz?

— Ja? — Ojciec zapłaci...

— Święty Mateuszu, patronie nasz, ratujże mię też, ratuj!... Ja mam płacić twoje długi?... Nie, nie mości dobrodzieju, jakem Jacek, centa jednego nie dam!

— To ktoż da? Ojciec dalibóg to sobie jest parądny. Trzeba mię było oddać do krawca albo szewca do terminu, tobym chodził boso albo w pantoflach i w fartuchu zamiast w tużurku. Ale jeżeli się komu dało edukację i wpuszcza go się pomiędzy porządnych ludzi, toć trzeba żeby on miał wszystko jak się należy...

Chce ojciec żebym bywał, znajomości porządne robił, z hrabiankami tańcował, a to kosztuje... I tak się dosyć nabieduję i naoszczędzam, żeby nie było znać tej biedy, a ojciec jeszcze na mnie krzyczy...

— Zdzisiu kochanie, nie krzyczę..,

— Tylko co? Nie będę płacił... ktoż zapłaci, ja? Gdybym był moim synem... to słowabym nie powiedział.

— Kiedy widzisz moje dziecko ciężko.. jak Boga kocham nie uwierzysz jak ciężko...

— Komuż teraz lekko, a przecież ludzie mają... Trzeba się starać widzi ojciec, to trudna rada... Ja muszę mieć swoje co mi się należy. Myśli ojciec że to tak jak na wsi, zje się byle co, chodzi się w byle czem... A tu wszyscy na ciebie patrzą i każden palcem wytyka... Rękawiczki świeże muszę mieć, cygara muszę mieć, porządnie trzeba mieszkać, i tu pójść i tam pójść, i cukierki i bukiety, i pikniki i składki... Ojciec zna to przysłowie: kiedy wleziesz między wrony, krakaj także jak i ony...

— Hm, żeby to jeszcze na co się zdało? — szepnie pan Jacek westchnąwszy ciężko.

— Musi się zdać! Zobaczy ojciec że niedługo zostanę koncepistą, a potem komisarzem, a potem sekretarzem... i już starosta. Przyjemnie będzie wtedy powiedzieć ojcu: mój syn starosta... albo delegat...

— Daj ci panie Boże, daj! Ale do tego czasu ja skapsonieję... pięcioro jeszcze w domu; temu to, temu owo... Salusia poszłaby już za mąż, żeby oto...

— Cóż jej tak pilnego? te panny ze wsi w piętnastu latach jużby leciały za mąż... Ale na co tu długo gadać... Mam robić karjerę, to niech robię, a nie, to nie...

Jak tam dalej szła rozmowa ojca z synem już nie wiem, dość, że kiedy przyszedłem na drugi dzień do pana Jacka, znamy się bowiem oddawna jako sąsiedzi i przyjaciele, zastałem starego w bardzo kwaśnym humorze. Siedział zakłopotany przy stole, pugilares z pieniądzmi obok niego, ołówek w ręku i arkusz papieru przed nim. Zobaczywszy mię, zerwał się, pugilares czemprędzej schował do kieszeni i zaczął mię całować z całą serdecznością...

Rozpytawszy się wzajemnie o żony i każde z dzieci, mówię ja do niego:

— A jakże tam gospodarstwo?

— Niech go trzysta djabłów weźmie i to gospodarstwo! — powiada drapiąc się po głowie. — Ot sąsiedzie dobrodzieju, gdyby się kto trafił, zarazbym sprzedał...

— Słyszę ja to już dziesięć lat toż samo z ust sąsiada dobrodzieja, a jak przyjdzie co do czego, to sąsiad się wymawiasz.

— Teraz to naprawdę jużbym sprzedał, jak szanuję sąsiada dobrodzieja, już nie mogę... Coraz się mości dobr. bardziej obcinamy i ekonoma odprawiłem, i cugi poszły do ludzi i wszędzie ja sam, i żona moja sama, a tu panie i kuso i kuso... Jak się nie zmieni na świecie, wojna jaka czy co innego nie nastąpi, to człeka djabli wezmą. — A do tego jeszcze klacz mi panie dobrodzieju padła; myślałem, sprzeda się w Tarnowie, będzie na procencik dla sąsiada dobrodzieja — młoda, lat cztery — ale przypytała się jej dychawica, na lekarstwa ośmnaście reńskich wydałem i poszła. Na wiosnę tego roku Marynia dostała kaszlu mości dobrodzieju, ale to takiego kaszlu, któregom jako żywo nie słyszał, mówię sąsiadowi huczało jej jak w beczce pustej. Żona powiada, suchoty Jacusiu, doktor kiwa głową i każe do Szczawnicy. Cóż było robić? Pojechały wszystkie i znowu pękło pięćset akurat te same, co miały iść na procencik dla sąsiada dobrodzieja... A tu i Zdzisław ciągnie.

— Widuję go często, rozbija się fiakrami po mieście... — przerywam uśmiechnięty...

— Musi, kochany sąsiedzie dobrodzieju. Jak już wszedł między panów i kieruje się na człowieka, to cóż poradzisz?... Zaczęło się, więc niech idzie dalej. Ja tam o sobie nic nie myślę, włożyłem się do roboty, jak ten wół do jarzma nieprzymierzając, ale niech choć jemu będzie lepiej... Wszystko teraz do urzędu i do urzędu sąsiedzie łaskawy... Na wsi nie ma co robić, widzi sąsiad dobrodziej surduta poczciwego z gospodarstwa nie sprawisz, jak Boga kocham tak prawda. — Tylko przyjechałem, już rano musiałem dać dwa papierki po sto... Trochę się hultaj zadłużył, ale trudno, jak wleziesz między wrony... To tylko człowiekowi raduje serce. że się szelma śrubuje dobrze... Żebym ja sąsiadowi chciał opowiedzieć wszystko co on mi tu wczoraj nagadał, toby się sąsiad dobrodziej naśmiał dowoli. Gdzie to tam my dawniej ani słyszeli o tem: hrabia to hrabia mości dobrodzieju, ukłoniłeś się z daleka, a oni teraz z nim ty a ty.... Szłyszę dawali jakiś *fig mig* dla pań.

— Piknik, piknik — wtrącam.

— Tak, tak piknik w tym ich tam końskim domu, czy sali, to powiada szampan się lał — jak Boga kocham... A jednej hrabiance to całą filiżankę lodów wpakowali tu... jak sąsiada dobrodzieja szanuję, tu — mówi pokazując ręką za kamizelkę. Nie huncwoty to jakieś, proszę ja sąsiada? Nacierpi się człowiek, to prawda, napracuje, nabieduje, ale przynajmniej wykieruje chłopaka na człowieka... Dostanie pensyjkę i będzie sobie kpił ze szlachty. Powiadam sąsiadowi dobrodziejowi, jużby był komisarzem żeby chciał.

— I czemuż nie chciał?

— Bo musiałby jechać na prowincją... Sam dobrodziej przyznasz, coby to była za karjera, a on tu posiedzi jeszcze jakie dwa lata i odrazu bęc na starostę... Po francusku ci się tak bestja wyuczyła, że ci rżnie lepiej niż my po polsku, a powiada że teraz między panami bez francuskiego ani rusz..... Z prawdziwą księżniczką tańcował na balu, i kiedy go się pytałem jak on śmiał — to ci panie dobrodzieju tylko ręką machnął... Co tam taka księżniczka, kiedy goła... Widzisz jaki to hultaj mądry?... Kto ich takiej mądrości wyuczył?... U niego sto reńskich to bagatela... Powiada: inni mają tysiące długów i spiewają sobie.

— Że też pożyczają takim młokosom? — mówię obojętnie.

— Ta to i mnie w głowę nie idzie — odpowiada zachwycony pan Jacek — ale prawda jest, bo dopiero co był tu żyd z wekslem jego na dwieście reńskich. Podpisał z nim jakiś hrabia jeszcze młodszy od niego... No i żyd powiada: tysiąc bym dał takie piękne panicz. — A człowiekowi jak trzeba paręset reńskich w Bochni, to cię tak naoglądają, tak wymacają mości dobrodzieju, że gdyby nie podatki, człowiek by plunął i poszedł.

Ponieważ, jak się czytelnicy domyślają, miałem i ja mały rachuneczek z panem Jackiem, który z powodu padnięcia owej klaczy, z powodu kaszlu panny Marji i pikników w końskim domu przez Zdzisia et Comp. wyprawianych, nie mógł być zrealizowanym, przeto nie pozostawało nic innego, jak tylko zawierzyć słowu pana Jacka, że wszystko to z procentami będę miał oddane święcie po żniwach. Dla pamięci jednak, wypadało tę sprawę trochę opisać, a że jak na złość nie było papieru pod ręką, mój sąsiad kręci się tedy aby posłać do miasta po czysty arkusz. Spojrzę ja na komodę, obok różnych flaszeczek z perfumami, obok kilku pachnących jak zaraza mydełek, leży eleganckie pudełko z listowym angielskim papierem, na którym aż błyszczy kolorowy monogram syna.

— Weź sąsiad jednę ćwiartkę oto tego i napisz — mówię pokazując na owe pudełko.

— E Zdzisio nie lubi, żeby mu co ruszać.

— Ale co tam zważać na jakieś lubi czy nie lubi smarkacza. Masz sąsiad i pisz. Cóż to nie za twoje pieniądze wszystko?

Siadł tedy i zaczął gryzmolić owe zobowiązanie po żniwach, gdy na to wpada wysztafirowany Zdzisio do pokoju, a niezważając wcale na mnie, wprost do ojca.

— Niechno ojciec da mi jeszcze pięćdziesiąt, tylko prędko mój tatulku, bo tam czeka na dole kolega, od którego pożyczyłem.

— A przywitajże się z panem Izydorem...

— Przepraszam — mówi spostrzegłszy moją osobę i podając mi końce palców ubranych w jasno liljową rękawiczkę. — Jak się pan ma?

Stary podniósł się z krzesła, pióro na stole położył i wydobywszy pugilares z kieszeni, usunął się do okna.

— Czegoż się ojciec tak chowa po kątach, przecież ojcu nikt tu nie wydrze... Mnie tak pilno, a ojciec się tak guzdrze jakby o jakie tysiące chodziło...

Pan Jacek dał owe pięćdziesiąt, syn zmiąwszy papierek, schował do kieszeni od kamizelki, i zrobiwszy lewo w tył już zmierzał ku wyjściu, gdy na nieszczęście spojrzawszy na stolik, dostrzegł ową ćwiarteczkę listowego papieru ze swoim monogramem.

— Jak ojciec śmie brać mój papier? — zawoła spojrzawszy zagniewanym wzrokiem na starego...

— Przepraszam cię moje dziecko... — mówi jąkając się stary. — To tylko jeden arkusik... Widzisz z sąsiadem mamy obrachunek... tego... nie było innego pod ręką...

— Że też najmniejszej rzeczy nie można tu zostawić, żeby zaraz spółek nie było.

— No no no, ja ci odkupię taki sam...

— Ale odkupię... — powtarza już we drzwiach, zabierając paczkę z papierem, a skinąwszy mi głową od niechcenia wybiega na schody, które aż dudnią pod jego stopami...

— Bestja jaka narowna hę? — mówi zakłopotany pan Jacek siadając znów do pisania. I rób tu z nim co chcesz...

— Baty, mości dobrodzieju, baty! — krzyknę.

— Co, gdzie, komu? — pyta z przestraszoną miną szanowny sąsiad, myśląc, że ja o batach dla niego mówię...

— Komusz jak nie urwiszowi temu, który nie pomnąc na czwarte przykazanie Boskie, zaprzągł poczciwych rodziców do pługa i orze nimi jak parą bezmyślnych wołów...

— Prawda, że orze — pomruknął stary westchnąwszy ciężko — ale cóż robić mój sąsiedzie... Takie czasy nastały teraz, każdy nami

orze kto nie chce!... Byle się tylko zmieniło na lepsze łaskawy sąsiedzie dobrodzieju...

Poczciwy synalek Zdzisio tak oporządził pugilares starego, że przed wyjazdem pożyczył on jeszcze odemnie kilka reńskich na kupno biletu trzeciej klasy do Bochni.

— Mówię ci sąsiedzie, miałem dla żony kupić na suknię i dla dziewczyn po parze trzewików, ale mię tak zdarli w hotelu, że już nie wystarczyło. Zdzisio powiada, że w Bochni jeszcze lepszych rzeczy i taniej dostanie. — Ma rację, a może się i obejdą bez tych rzeczy.. Pojadę dziś nocą, bo szkoda dnia przy gospodarstwie; u nas tak się teraz ludzie zbiesili, że gdzie nie dojrzysz okiem, to dołożysz workiem... A tu mości dobrodzieju, każdego centa szkoda.

DWIE CHWILE.

Święć się chrobra Serbska ziemio z twoim wiernym ludem,
Z mogił krwawych w podziw światu zmartwychwstała cudem.

Przed wiekami świat zasłyszał wielką pieśń grobową:
Zapłakała Serbska ziemia: Kosowo! Kosowo!...

Pogrzebowa pieśń mówiła lecąc w kraj daleki:
„Serbska ziemia w krwi poległych zasnęła na wieki...“

Pod Kosowem., w dzień boleści, któż z boju powrócił?
Legł Car Łazar — nikt wśród wrogów Cara nie porzucił.

A niewiasty szły na pole krwią serbską ociekłe,
Wojownikom wina kroplą zwilżyć usta spiekłe.

Szły niewiasty i zdrojowej wody niosły dzbany.
By walczącym bohaterom zmywać krwawe rany.

Szły niewiasty gdzie zastępy od brzasku walczyły,
By pokrzepić chlebem białym wojowników siły.

I znalazłszy bojowisko usiane trupami,
Jęły płakać w głos niewiasty sierocemi łzami.

Serbska ziemio! dziś pieśń nowa inne głosi wieści.
Nie zasnęłaś ty na wieki w ony dzień boleści

Święć się chrobra Serbska ziemio z twoim wiernym ludem
Z mogił krwawych w podziw światu zmartwychwstała cudem.

* * *

Dosyć, bracia, łez i krwi wylanej,
Krwawe miecze złóżcie na kurhany —
Dzień weselny zajaśniał i wam!
Wznieście troską pochylone czoła,
Niebo kirem zasnute dokoła
Zorzą świeci u zarannych bram!
A wytężcie oczy łzą przyćmione.
By was blaski nie olśniły one,
Które niesie nam zbudzony wschód:
Wstańcie, spieszcie i pokrzepcie siły.
By nie wstało słońce na mogiły,
Lecz na godny jeszcze życia lud.
Bracia! w dzień tryumfu i pokoju
Większe dzieło, niźli w krwawym boju —
Trzeba godnie imię „wolnych“ nieść!
Naprzód! wy Słowiańskiej ziemi syny!
Pośród bratniej witajcie drużyny,
Szczęść wam Boże! Sława wam i cześć!

Czesław.

KRONIKA NAUKOWA

PRZEZ
B. ABAKANOWICZA.

Połączenie geodetyczne Afryki i Europy.

Jedno z największych dzieł geodetycznych zostało dokonanem w ostatnich kilku miesiącach ubiegłego roku.

Od wielu lat francuscy inżynierowie robili pomiary Algieru. Chodziło o narysowanie dokładnej mapy i nareszcie niedawno temu doprowadzono pracę do końca. Oznaczono dokładne położenie wielu punktów tego kraju za pomocą tak zwanej tryangulacji a sieć tryangulacyjną doprowadzono aż do wybrzeża Sahary pod 37° szerokości geograficznej. Tryangulacje krajów europejskich nadbrzeżnych, leżących na północ od Algieru, zostały już dawno dokonane. Pozostawało jedno zadanie do spełnienia. Trzeba było złączyc w jedną sieć punkta algierskie z punktami francuskimi i hiszpańskimi.

Lecz morze stało temu na przeszkodzie. Z głównych punktów w Algierze, zaledwie w najpiękniejszą pogodę można było widzieć szczyty gór hiszpańskich, lecz przezroczystość taka powietrza trwała zwykle zbyt krótko, i niepodobna było dokładnie oznaczyć za pomocą lunet położenia jakiegokolwiek punktu.

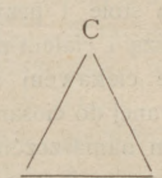
Przez lat jedenaście, p. Perrier, przewodniczący komisji tryangulacyjnej, szukał sposobów rozwiązania tego zadania. Pokazało się, że jedna tylko droga jest możliwą, jeżeli się połączy punkta leżące między Oranem i granicami Marocco po stronie afrykańskiej z wierzchołkami Sierry Newady, po stronie europejskiej.

Musimy objaśnić bliżej, co rozumieć należy przez *połączenie* w znaczeniu geodetycznem. Najlepiej to przykład wyjaśni. Dajmy na to, że mamy tu we Lwowie dokładnie oznaczone położenie wierzchołku góry Zamkowej, który nazwijmy literą A i wierzchołkn góry piaskowej, który nazwijmy literą B. Przypuśćmy, że znamy najdokładniej odległość punktu A od punktu B, i że trzeba nam znaleść położenie wierzchołka ratuszowej wieży, w stosunku do punktów A i B, która jest nieznajoma.

Otóż, żeby to położenie znaleść, ustawiamy lunetę w pukcie A, kierujemy ją dokładnie na wierzchołek wieży, (którą oznaczmy literą C) i mierzymy potem jaki kąt tworzy oś lunety z linją łącząc A z B. Następnie ustawiamy lunetę w punkcie B i mierzymy kąt jaki tworzy linja przeprowadzona od B do wieży ratuszowej z linją AB.

Diagram niżej umieszczony, bliżej to objaśni.

C



A B

W ten sposób, w trójkącie ABC mamy dany bok AB, którego długość znamy, a oprócz tego za pomocą lunety zmierzyliśmy kąty CAB i CBA. Wiadomo, że to wystarcza zupełnie do oznaczenia całego trójkąta i mając te dane możemy obliczyć odległość punktu C od A i tegoż punktu od B.

Tą drogą *połączyliśmy* punkt C z punktami A i B.

Takie zadanie mieli przed sobą inżynierowie w Algierze — trzeba było taką samą operację uskutecznić, tylko w bezporównania większych rozmiarów. Na ziemi algierskiej były dwa punkty oznaczone dokładnie, których odległość była ściśle wymierzoną, mianowicie wierzchołek góry *Filhaoursen* i wierzchołek *M'Sabiha*. Chodziło o połączenie tycn punktów z wierzchołkami hiszpańskiemi zwanymi Tetica i Mulhacen, z których ostatni jest najwyższym w królestwie.

Odległość wynosiła około 270 kilometrów! Przez tę przestrzeń trzeba było zobaczyć z Algieru sygnał po stronie hiszpańskiej. Więc ustawione były lunety na obu wierzchołkach algeryjskich, a na każdym z wierzchołków hiszpańskich zwierciadła odbijały promienie słoneczne w kierunku Algerji, tak, żeby te zwierciadła jako punkty świecące ujrzeć można było. Szukano długi czas tych jasnych punktów lecz nie zdołano ich odszukać; przestrzeń zanadto było wielka i światło odbite od zwiereiadeł absorbowanem było przez powietrze, zanim dosięgło lądu afrykańskiego.

Trzeba było porzucić tę drogę i udano się do pomocy światła elektrycznego. Na hiszpańskie wierzchołki, wprowadzono machiny parowe, dynamo-elektryczne i pozapalano elektryczne światła, które po raz piewszy na ziemi błyszczały na takiej wysokości. Przez dwadzieścia nocy szukano z gór algeryjskich za pomocą lunet tych świateł, lecz ginęły one zwykle w parze unoszącej się nad morzem. Aż nareszcie we Wrześniu, pięknéj pewnej nocy ujrzano dwa zapalone światła, jedno po drugiem, które były widzialne nawet gołem okiem; wyglądały jak dwie gwiazdy pierwszej wielkości. Tuż po nad niemi, na ciemnem tle nieba błyskała *α* z Wielkiej Niedźwiedzicy, zupełnie do tych ziemskich gwiazd podobna.

Przeszło miesiąc mierzono kąty, aby otrzymać zupełną dokładność i nareszcie w październiku 1879, całe zadanie zostało szczęśliwie rozwiązanem.

SPADEK 500 MILIONOWY

POWIEŚĆ

JULJUSZA VERNE'A

PRZEKŁAD

WINCENTY LIMANOWSKIEJ.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ II.

Dwaj koledzy.

Oktawjusz Sarrasin nie był właściwie leniwym. Nie był on też ani głupcem, ani nie miał wyższej inteligencji, nie był on pięknym, ale nie był brzydkim, ani małym, ani wielkim, ani brunetem ani blondynem. Był szatynem i pod każdym względem zaliczał się do klasy średniej. W kolegium dostawał zwykle drugą nagrodę i dwie lub trzy pochwały. W bakalaureacie miał mierną notę. Za pierwszym razem odrzucony na konkursie szkoły centralnej; za drugą razą został przyjęty z numerem 127. Charakteru wahającego się, był to jeden z tych umysłów, co się zadowalniają pewnością niezupełną, którym zawsze wystarcza prawdopodobieństwo i którzy przechodzą przez życie jak światło księżycowe. Taki

rodzaj ludzi jest w ręku przeznaczenia tem, czem jest korek rzucony na falę. Pędzą do równika lub do bieguna, stosownie do tego jak wiatr wieje, z północy czy z południa. Przypadek tylko stanowi o ich losie. Gdyby doktor Sarrasin nie łudził się trochę co do charakteru syna swego, możeby się był zawahał przed napisaniem do niego listu, który czytaliśmy; ale najzdrowsze umysły nawet zdolne są do rodzicielskiego zaślepienia.

Szczęśliwym trafem, na samym początku wychowania swego, Oktawjusz dostał się pod władzę natury energicznej, której wpływ trochę tyrański ale dobroczynny ujarzmił go przemocą. W liceum Charlemagne, gdzie go ojciec umieścił był dla dokończenia nauk, Oktawjusz ścisłą przyjaźń zawiązał z jednym ze swych kolegów, Alzatczykiem, Marcelim Bruckmann'em, który chociaż młodszy od niego o rok, przewyższył go wkrótce nietylko siłą fizyczną, ale też umysłową i moralną.

Marceli Bruckmann został sierotą, mając lat dwanaście, i odziedziczył małą sumkę, która wystarczała zaledwie na opłacenie kolegium. Gdyby nie Oktawjusz, który zabierał go z sobą na wakacje do rodziców, Marceli nigdyby był nie mógł wyjść po za mury kolegjum.

W skutek tego rodzina doktora Sarrasin'a stała się rodziną młodego Alzatczyka. Ten ostatni, pomimo chłodnej powierzchowności, tkliwy miał charakter i osądził, że odtąd całe jego życie powinno należeć do tych poczciwych ludzi, którzy mu zastąpili ojca i matkę. To naturalnie doprowadziło do tego, że uwielbiał doktora Sarrasin'a, jego żonę i śliczną a poważnego umysłu córeczkę ich; serce jego otworzyło się dla nich na nowo, jak gdyby był wrócił do lat dziecinnych. Wdzięczności swej jednak dowodził nie słowami, ale czynami. Wziął sobie za obowiązek odpłacić dzieciom to, co winien był rodzicom; w Joannie, która lubiła naukę, starał się wyrobić zdrowy rozsądek, umysł silny i stały; z Oktawjusza usiłował zrobić człowieka, godnego następcę tego, który był ojcem jego. Trzeba wyznać, że to ostatnie zadanie o wiele trudniejszem było; Joanna, jak na swój wiek, przewyższała brata swego tak pod względem umysłu jak charakteru. Ale Marceli postanowił sobie dopiąć podwójnego celu swego.

Marceli Bruckmann był jednym z owych walecznych i roztropnych wojowników, których Alzacja corocznie wysyła na plac wielkiego paryskiego boju. Dzieckiem jeszcze będąc, odznaczał się giętkością i siłą muszkułów, tak jak żywością umysłu. Moralnie był cały odwagą i wolą; fizyczna zaś budowa jego składała się z samych kątów prostych. W kolegjum już dręczyła go żądza celowania we wszystkiem, tak w piłce jak w obozie, tak w sali gimnastycznej jak w chemicznem laboratorjum. Zdawało mu się, że rok czasu stracił, jeżeli zabrakło mu jednej z rocznych nagród. Mając lat dwadzieścia, był ogromnej budowy, silny, mocno rozwinięty, pełen życia i ruchu, obraz prawdziwej maszyny organicznej z maksimum natężenia i czynności. Inteligentna głowa jego zwracała już wówczas spojrzenie ważnych umysłów. Do szkoły centralnej wstąpił w tymże samym roku co i Oktawjusz; wszedł do niej jako drugi uczeń, ale postanowił wyjść pierwszym.

Zresztą przyjęcie swoje do szkoły Oktawjusz zawdzięczał także wytrwałej i wystarczającej na dwóch energji Marcelego. Ten przez cały rok popychał go do pracy i zmusił niejako do powodzenia. Miał on dla tej natury słabej i chwiejnej pewne uczucie przyjaźnej litości, podobnej do tego, coby mógł lew doznawać względem młodego pieska. Przyjemnie mu było wzmacniać swą siłą tę anemiczną roślinę i doprowadzić ją do kwitnienia i oczkowania przy sobie.

Wojna w 1870 roku zastała obu przyjaciół w chwili, kiedy składali egzamina. Zaraz nazajutrz po zamknięciu konkursu, przejęty patrjotyczną boleścią i doprowadzony do rozpaczy tem co groziło Strasburgowi i Alzacji, Marceli zaciągnął się do 31. batalionu strzelców pieszych. Oktawjusz poszedł zaraz za jego przykładem.

Obydwaj razem odbyli na forpocztach Paryża kampanję oblężenia. Marceli dostał kulą w prawe ramię; pod Busenval awansował na oficera. Oktawjusz nie zdobył dla siebie ani rany ani szlify. Prawdę mówiąc, nie jego w tem wina była, bo zawsze szedł w ogień za przyjacielem. O sześć metrów zaledwie pozostawał za nim z tyłu. Ale właśnie te sześć metrów stanowiły wszystko.

Od czasu jak pokój nastał, a z nim wrócono do zwykłych prac, dwaj przyjaciele mieszkali razem w dwóch przyległych sobie pokojach skromnego domu, znajdującego się nieopodal od szkoły. Nieszczęścia Francji, odpadnięcie Alzacji i Lotaryngji, wycisnęły na charakter Marcelego piętno przedwczesnej męzkiej dojrzałości.

— Obowiązkiem młodzieży francuskiej — mawiał on — jest, naprawić błędy ojców swych, a dokonać tego potrafi jedynie zapomocą pracy.

Wstawał o godzinie piątej i zmuszał Oktawjusza do tego również. Ciągnął go na kursa, a wyszedłszy z nich, nie opuszczał go ani na chwilę. Wracali do siebie i zasiadali do pracy, przeplatając ją tylko czasem fajeczką, czasem filiżanką kawy. Kładli się o godzinie dziesiątej, z sercem zadowolonem, jeśli nie szczęśliwem, i z głową pełną. Od czasu do czasu partja bilardu, dobrze wybrane widowisko teatralne, niekiedy koncert w konserwatorjum, konna przejażdżka aż do lasu Verrières, przechadzka po lesie, dwa razy na tydzień ćwiczenie w boksowaniu lub fechtunku, oto były całe ich rozrywki. Chwilami wprawdzie Oktawjusz okazywał chętkę do buntu, i z zazdrością patrzał na przyjemności mniej godne pochwały. Wspominał o tem, że trzeba pójść odwiedzić Arystyda Lerense, który „uczył się prawa" w piwiarni Saint-Michel. Ale Marceli tak ostro szydził z tych zachcianek, że te najczęściej same przez się mijały.

Dnia 29. października 1871, koło godziny siódmej wieczór, dwaj przyjaciele siedzieli obok siebie przy jednym stole i przy jednej wspólnej lampie. Marceli duszą i ciałem pogrążył się w zadaniu, niezmiernie ciekawem zadaniu geometrji opisowej, zastosowanej do ciosania kamieni. Oktawjusz, z religijnem namaszczeniem zajmował się robieniem kawy, co w jego oczach było rzeczą o wiele ważniejszą. Był to jeden z niewielu przedmiotów w których celował, jak sobie pochlebiał, może dlatego, że to dawało mu codziennie możność przerwania na chwil kilka arcy niemiłej pracy rozwiązywania zrównań, której, jak mu się zdawało, Marceli nadużywał trochę. Kropla za kroplą spuszczał wrzącą wodę na grubą warstwę sproszkowanej moki, i spokojne zadowolenie, jakie mu to sprawiało, powinno mu było wystarczyć. Ale widok pracującego Marcelego sprawiał mu wyrzuty sumienia, usiłował przeto paplaniem swojem przeszkadzać mu.

— Dobrzebyśmy zrobili, gdybyśmy kupili ulepszony przyrząd do kawy — rzekł nagle. — Ten starożytny filtr nie odpowiada już tegoczesnej cywilizacji.

— Kup przyrząd! Może wówczas nie będziesz co wieczór tracił godzinę czasu na to warzenie.

To powiedziawszy, Marceli wrócił do zadania swego.

„Wnętrze sklepienia tworzy elipsoida o trzech nierównych osiach. Niech ABDE będzie elipsą dającą początek, której oś największa oA=a, oś średnia oB=b, oś najmniejsza |o, o' c| jest poziomą i równą c', co czyni sklepienie zniżonem ku środkowi. ."

W tej chwili zastukano do drzwi.

— List do pana Oktawjusza Sarrasin'a — rzekł służący.

Można sobie wyobrazić, z jaką radością młody student powitał tę rozrywkę.

— To od mego ojca — rzekł. — Poznaję pismo... To przynajmniej co się nazywa list — dodał ważąc na ręku paczkę papierów.

Marceli wiedział także, iż doktor był podówczas w Anglji, że przed tygodniem, przejazdem będąc w Paryżu, ugościł był dwóch kolegów swoich w restauracji Palais-Royal, słynnej niegdyś, ale teraz wyszłej już z mody; doktor Sarrasin jednakże zawsze jeszcze uważał ją za szczyt wykwintnego smaku paryskiego.

— Powiesz mi, czy ojciec twój pisze co o kongresie Hygieny — rzekł Marceli. — Dobra to myśl była, że pojechał tam. Uczeni francuscy nadto skłonni są do odosobniania się

Poczem Marceli znowu wrócił do zadania swego.

„Wewnętrzną wypukłość utworzy elipsoida podobna do pierwszej, mająca środek poniżej o' na poziomej o. Oznaczywszy ogniska F_1, F_2, F_3, — trzech głównych elips, wykreślamy elipsę i hiperbolę pomocniczą, których osie wspólne..."

Tu na wykrzyknik Oktawjusza podniósł głowę.

— Cóż tam takiego? — zapytał trochę zaniepokojony, widząc że przyjaciel jego zbladł.

— Czytaj — odpowiedział tamten, ogłuszony niespodzianą wiadomością.

Marceli wziął list, przeczytał go do końca raz i drugi, spojrzał na załączone dokumenta i rzekł:

— To ciekawe!

Potem nałożył sobie fajkę i metodycznie zapalił ją. Oktawjusz nie spuszczał z niego oka.

— Myślisz że to prawda? — rzekł głosem przytłumionym.

— Czy prawda?... Widocznie że tak. Twój ojciec za wiele ma zdrowego rozsądku i nauki, by miał mówić coś podobnego, nie mając pod tym względem zupełnej pewności. Zresztą dowody są tutaj, a przytem rzecz jest w istocie zupełnie prosta.

Fajka paliła się doskonale, Marceli zabrał się znowu do pracy. Oktawjusz stał z opuszczonemi rękami, nie mogąc nawet kawy swojej dokończyć, a tem bardziej logicznie powiązać z sobą dwóch myśli. Ale potrzebował mówić dlatego, by upewnić się, że nie marzy.

— Ale... jeżeli to prawda, to rzecz niesły-

chana!... Czy wiesz, że pół miliarda, to ogromna fortuna?

Marceli podniósł głowę i potwierdził:

— Ogromna w istocie. Nie ma może drugiej podobnej we Francji; w Stanach Zjednoczonych jest ich kilka tylko, w Anglji zaledwie pięć lub sześć, a na ogół piętnaście lub dwadzieścia na całym świecie.

— A w dodatku tytuł! — dodał Oktawjusz — tytuł baroneta! Nie dlatego bym kiedy pragnął czegoś podobnego, ale ponieważ teraz trafia się, to mogę przyznać, że zawsze jest to wspanialej, niż nazywać się po prostu Sarrasin'em.

Marceli wypuścił kłąb dymu i nie wyrzekł ani słowa. Ten kłąb dymu wyraźnie mówił: „Pah!... Pah!..."

— Z pewnością, nigdybym nie zrobił tak, jak wielu ludzi, co to dodają końcówkę jakąś do swego imienia, albo wymyślają jakąś urojoną koronę! Ale posiadać prawdziwy tytuł, tytuł autentyczny, wyraźnie wpisany do „księgi parów" Wielkiej Brytanji i Irlandji, tytuł niepodlegający żadnej wątpliwości, żadnemu zamięszaniu, jak się to zdarza bardzo często...

Fajka wciąż powtarzała swoje: „Pah.!. Pah!"

— Mój kochany, mów sobie co chcesz — odrzekł Oktawjusz z przekonaniem — krew, to coś znaczy, jak powiadają Anglicy!

Nagle zatrzymał się przed szyderczem spojrzeniem Marcelego i zwrócił się ku miljonom.

— Czy pamiętasz — mówił — jak Binôme, nasz profesor matematyki, rok rocznie powtarzał w swojej pierwszej lekcji o numeracji, że pół miljarda jest nadto wielką sumą, by umysł ludzki mógł wyrobić sobie o niej chociażby jasne pojęcie, gdyby nie miał wyobrażenia jej zapomocą znaków piśmiennych?.. Czy pojmujesz ty to, że gdyby jeden człowiek rachował po jednym franku na minutę, to potrzebowałby więcej niż tysiąc lat na wypłacenie takiej sumy! Ah! naprawdę.. dziwne to powiedzieć sobie, że się jest dziedzicem pół miljarda franków!

— Pół miljarda franków! — zawołał Marceli, więcej poruszony nazwą rzeczy, jak samą rzeczą. — A wiesz, cobyście mogli najlepszego z tem zrobić? Oto, oddać je Francji na zapłacenie okupu! W takim razie pozostałoby jej tylko dziesięć razy tyle do zapłacenia!...

— Tylkoż zmiluj się nie podawaj ojcu takiej myśli nawet!... — zawołał Oktawjusz tonem przestraszonym. — Gotów byłby zgodzić się na nią. Widzę już i bez tego, że po swojemu układa jakiś tam projekt!... Dosyć będzie, jeżeli kapitał umieści się na hipotekę państwa; niechże przynajmniej procent zostanie dla nas!

— Urodziłeś się na kapitalistę! a do dzisiejszego dnia ani domyślałeś się tego nawet. Tak coś zdaje mi się, że jeżeli nie dla twego ojca, który ma umysł pewny i zdrowy, to dla ciebie lepiej byłoby, gdyby spadek cokolwiek mniejszych był rozmiarów. Wolałbym, żebyś mógł podzielić się z dzielną siostrzyczką twoją dwudziestupięciu tysiącami liwrów dochodu, aniżeli tą górą złota!

I wrócił do pracy.

Co do Oktawjusza, ten nie był w stanie robić cokolwiek; tak się rzucał i kręcił po pokoju, że Marceli zniecierpliwiony trochę — rzekł do niego wreszcie:

— Lepiej zrobiłbyś, gdybyś poszedł przejść się. Widocznie, do niczego już dzisiaj nie jesteś zdolny!

— Masz słuszność — odpowiedział Oktawjusz, z radością chwytając to niby pozwolenie zaniechania wszelkiej pracy.

I porwawszy kapelusz, szybko zbiegł ze schodów i znalazł się na ulicy. Zaledwie uszedł dziesięć kroków, zatrzymał się przy gazowej latarni i odczytał list ojca. Potrzebował upewnić się, że nie spi.

— Pół miliarda!... pół miliarda!... — powtarzał. — To znaczy, przynajmniej dwadzieścia milionów dochodu!... Jeżeliby ojciec dał mi tylko jeden milion, jako pensję tylko pół miljona, tylko ćwierć, to jeszcze będę bardzo szczęśliwy! Tak wiele zrobić można, mając pieniądze! Jestem pewny, że potrafię dobrze je użyć! Nie jestem głupcem, nieprawdaż? Kto był przyjęty do szkoły centralnej!... W dodatku mam tytuł!... Potrafię go nosić!

Przechodząc koło magazynów, przypatrywał się sobie, w zwierciadlanych oknach.

— Będę miał hotel, konie!... Marceli będzie miał także konie. Oczywiście, jeżeli ja bogaty jestem, to tak jak gdyby on sam miał pieniądze. A jak to w porę przyszło!... Pół miliarda!... Baronet!... To zabawne, teraz kiedy się stało, to mi się zdaje, że spodziewałem się tego! Przeczuwałem, że nie będę wiecznie ślęczał nad książkami i rysunkami!... Jak sobie chcąc, świetny to sen!

Tak dumając, Oktawjusz posuwał się ulicą Rivoli. Przeszedł Pola Elizejskie, minął ulicę Royal i wkroczył na bulwar. Na pyszne tutaj wystawy patrzał niegdyś z obojętnością, jako na rzeczy błahe i nie mające znaczenia dla niego. Teraz zatrzymał się przed niemi i z żywem uczuciem radości pomyślał sobie, że wszystkie te skarby należałyby do niego, gdyby tego zapragnął.

— Dla mnie to — mówił sobie — prządki Holandji kręcą wrzeciona swoje; fabryki Elboeuf tkają najmiększe sukna; zegarmistrze robią chronometry swoje; dla mnie pająk opery toczy kaskady świateł, smyczki skrzypią, spiewaczki trele wywodzą! Dla mnie w maneżach ujeżdżają wierzchowców czystej krwi, dla mnie oświecają Angielską kawiarnię!... Paryż do mnie należy!... wszystko do mnie!... Może podróżować będę? Może zwiedzę swoję baronję w Indji?... Może kiedyś przyjdzie mi kaprys do posiadania pagody, wraz z bonzami i bożkami z kości słoniowej w dodatku!.., Będę polował na tygrysy!... A piękna broń!... A śliczna łódź!... Łódź? o nie! ale piękny i dobry parowy jacht, który zawiezie mię gdzie zechcę; będę zatrzymywał się lub płynął, jak mi się podoba!... A propos pary, mam zawiadomić o tem wszystkiem matkę. Może pojechać do Douai!.. Ale szkoła... Oh! oh! szkoła! może się i bez niej obejdzie!... Ale Marceli! trzeba go zawiadomić. Poszlę mu depeszę. Zrozumie przecie, że w takiej okoliczności pilno mi zobaczyć się z matką i z siostrą!

Oktawjusz wszedł do bióra telegraficznego, zawiadomił swego przyjaciela, że wyjeżdża i że wróci za dwa dni. Potem zawołał fiakra i kazał się zawieść na dworzec Północny.

Jak tylko znalazł się w wagonie, znowu zaczął snuć marzenia swoje.

O drugiej po północy Oktawjusz silnie dzwonił do domu ojcowskiego i macierzystego — dzwonkiem nocnym — i poruszył tem cały spokojny cyrkuł Aubettes.

— Któż to zachorował? — pytały się kumoszki, rozmawiając z sobą przez okna.

— Nie ma doktora w domu! — wołała stara sługa z okienka na ostatniem piętrze.

— To ja, Oktawjusz!... Otwórz mi, Franciszko!

W dziesięć minut potem Oktawjusz wszedł nareszcie do domu. Matka i siostra jego, Joanna, naprędce włożywszy szlafroczki zbiegły do niego pytając niespokojnie, co znaczą te niespodziane odwiedziny.

List doktora, głośno odczytany, wyjaśnił tajemnicę.

Pani Sarrasin, olśniona przez chwilę, płacząc z radości uściskała syna i córkę. Zdawało się jej, że świat do nich należeć będzie, i że nieszczęście nigdy nie dotknie młodych ludzi posiadających kilka miljonów. Jednakże kobiety łatwiej niż mężczyźni oswajają się z wielkiemi zmianami losu. Pani Sarrasin odczytała list męża, pomyślała sobie, że jego to właściwie rzeczą kierować tak jej własnem jak i jej dzieci życiem, i spokój wrócił do jej serca. Co do Joanny, ta cieszyła się radością matki i brata; ale jej wyobraźnia trzynastoletnia nie roiła większego szczęścia nad posiadanie małego, skromnego domku, w którym życie jej przyjemnie uchodziło wśród lekcji profesorów i pieszczot rodzicielskich. Nie bardzo rozumiała, jakim sposobem kilka paczek biletów bankowych mogło zmienić jej życie, i to przypuszczenie nie zaniepokoiło jej ani na chwilę.

Pani Sarrasin, młodo poślubiona człowiekowi całkowicie oddanemu nauce, szanowała namiętność męża swego, którego czule kochała, nie bardzo go rozumiejąc jednakże. Nie mogąc dzielić szczęścia, jakie nauka dawała doktorowi Sarrasin, czuła się niekiedy osamotnioną trochę obok tego zapalonego pracownika, i z tego powodu wszystkie nadzieje swe zlała na swe dzieci. Zawsze marzyła o świetnej przyszłości dla nich, wyobrażając sobie, że to tylko zapewni im szczęście. Nie wątpiła, że Oktawjusz przeznaczony jest do najwyższych godności. Od czasu jak wstąpił do szkoły centralnej, skromna ta i użyteczna akademja zamieniła się w jej wyobraźni na szkółkę ludzi znakomitych. Niepokoiła ją tylko myśl, że mierny ich fundusz może jeżeli nie przeszkodzić, to w każdym razie utrudnić świetną karjerę syna, a później zaszkodzić dobremu wyjściu córki zamąż. Teraz z listu męża zrozumiała na tyle, że obawy te stanowczo zostały usunięte. To też czuła się zupełnie zadowoloną.

Matka i syn przepędzili część nocy na rozmowie i tworzeniu projektów; tymczasem Joanna, zadowolona z teraźniejszości i spokojna o przyszłość, zasnęła w fotelu.

W chwili kiedy nareszcie i oni już mieli udać się na spoczynek, pani Sarrasin rzekła do syna.

— Nic mi nie mówisz o Marcellim. Czy nie zawiadomiłeś go o tem, co ci ojciec napisał? Cóż on na to?

— Oh! — odpowiedział Oktawjusz — znasz Marcelego! To więcej niż filozof, to prawdziwy stoik! Zdaje mi się, że przestrasza go trochę ten olbrzymi spadek. Lęka się o nas; to jest właściwie o nas, z wyjątkiem ojca, którego zdrowy rozsądek i nauka uspokajają go. Ale co się ty-

*

czy ciebie matko, i Joanny, i mnie nadewszystko, nie tail się z tem, że wolałby był skromną fortunę, dwadzieścia pięć tysięcy liwrów dochodu...

— Może Marceli miał słuszność — odpowiedziała pani Sarrasin, patrząc na syna. Nagła fortuna może być bardzo niebezpieczną dla pewnych charakterów!

Joanna przebudziła się w tej chwili. Usłyszawszy ostatnie słowa matki — odezwała się przecierając oczy.

— Pamiętasz, mamo, coś mi powiedziała kiedyś, że Marceli ma zawsze słuszność! Ja wierzę temu, co mówi nasz przyjaciel Marceli.

I ucałowawszy matkę, odeszła do pokoiku swego. (C. d. n.)

Kronika Tygodniowa.

(Zakończenie ferji. Ilość rocznej pracy w zakładach naukowych. Sprawa ogólna polskich wystaw dzieł sztuki we Lwowie. Wystawa etnograficzna w Kołomyi. Komedja Blizińskiego. Polemika p. Abrahamowicza z p. Hausnerem. List od autora konkursowej komedji: „Zabiegi". List do p. Wojciecha Grabowskiego.)

Kończą się ferje Bożego Narodzenia. W zakładach naukowych rozpoczyna się ruch na nowo po blisko miesięcznej przerwie.

Dziwnym i uwagi godnym jest rozdział pracy szkolnej w naszej prowincji. Nigdzie może na świecie nie ma tak wielkiej ilości dni przeznaczonych na odpoczynek, jak gdyby nigdzie tak wiele i tak usilnie jak u nas nie pracowano. Czyżby kto mógł przypuścić, że z dwunastu miesięcy zaledwie *cztery* są całkowicie zapełnione wykładami. Kilka dłuższych ferji letnich, zimowych i wiosennych, święta łacińskie i greckie, parę dni galowych, zajmują większą część czasu w najdroższych chwilach życia.

Przybliżony rachunek da nam o tem niejakie pojęcie. Około trzech miesięcy ferji letnich, dwa miesiące na Boże narodzenie, Wielkanoc i Zielone świątki razem, kilkudniowe ferje między półroczami, 52 niedziel i ze trzy święta przynajmniej na miesiąc — wynoszą około *ośmiu miesięcy!!* Trzy czwartych czasu ginie marnie i bezużytecznie. I dziwić się potem, że postępy są tak małe, że tylu lat potrzeba na skończenie wyższych zakładów naukowych!

Trzeba, żeby już raz na serjo pomyślano o usunięciu tak nieodpowiadających duchowi czasu urządzeń, jak podwójne święcenie jednych i tych samych chrześcijańskich uroczystości.

* * *

W ostatnim zeszycie *Tygodnia* podnieśliśmy na nowo sprawę wystaw sztuki ogólno-polskich, których myśl powstała w Krakowie podczas jubileuszu Kraszewskiego, za inicjatywą Siemiradzkiego. Interpelowaliśmy, co się stało z projektem tym i czy cokolwiek dotąd zrobiono, bo od wyjazdu Siemiradzkiego nic o całej tej sprawie nie słychać. Zasięgnęliśmy w tej mierze wiadomości w tutejszem Towarzystwie sztuk pięknych; odpowiedziano nam, że towarzystwo wystawami temi wcale się nie zajmuje, lecz że inny jakiś komitet na prędce podczas pobytu Siemiradzkiego we Lwowie utworzony, wziął sprawę w swoje ręce. O tem co ten komitet dotąd zrobił — jaką drogą zamierza on dójść do celu, nic nie wiadomo. Najdziwniejszem zaś jest to, że Towarzystwo Sztuk pięknych o tem nic nie wie, jak gdyby było zupełnie od współudziału wykluczone. Sądzimy, że czas jest wyjaśnić tę sprawę — bo dotąd wygląda to tak jakby o wszystkiem już zapomniano.

Kiedy myśl urządzania takich wystaw się rodziła — proponowano ogólnie, aby je złączyć z wystawami przemysłowo-rolniczemi, które co pięć lat odbywać się mają. Ten perjod pięcioletni, proponowanym był, jakby rzecz już postanowiona, a tymczasem, wiemy dokładnie, iż czas ten nie został wcale wyznaczony.

Owszem, nawet ogólne panuje przekonanie, że odstępy pięcioletnie są zbyt krótkie, dla wystaw większych, tego rodzaju, jak ostatnia lwowska. Co innego z dziełami sztuki. W ogromnym rozwoju tej dziedziny życia umysłowego u nas, pięć lat stanowić może o ważnych krokach naprzód, przez pięć lat ukazać się mogą nowe pokolenia artystów i dla tego taki odstęp dla wystaw dzieł sztuki, nie byłby wcale zbyt krótkim. Sądzimi też, że nie ma żadnej potrzeby, łączyć obie wystawy — owszem nawet, ich rozdział wpłynąć może korzystnie na zjednoczenie uwagi w jednym lub drugim kierunku, a zresztą cóż może mieć wspólnego *ogólno polska* wystawa dzieł sztuki — z *prowincjonalną* galicyjską wystawą rolniczo-przemysłową?

* * *

Wszelkim towarzystwom za wzór można postawić oddział Czarnohorskiego towarzystwa tatrzańskiego, pod względem ruchliwości, przedsiębierczości i energji. Wysunięte na kresy naszego kraju, dzielnie krzewi tam oświatę — zachęcając do poznania ziemi naszej, tak pięknej i tak uroczej w tych stronach, a jednak tak mało znanej.

Wycieczki coroczne Towarzystwa, należą do najczarowniejszych, a kto miał szczęście brać w nich udział, nie zapomni wrażeń tam odebranych, tego ludu urodziwego, dziwnych obyczajów, i dzikiej przyrody.

Na wrzesień b. r. Zarząd oddziału Czarnohosrkiego Tow. Tatrz. postanowił urządzić w Kołomyi *wystawę etnograficzną*, która obejmować będzie powiaty: Kołomyjski, śniatyński horodeński, kossowski, zaleszczycki i borszczowski. Ma być na niej zebranem wszystko co się odnosi do poznania ludu w tych powiatach zamieszkałego, a więc ma przedstawiać jego ubiory i stroje, mieszkania, narzędzia wszelkiego rodzaju i w ogóle przemysł domowy.

Oto są słowa programu wystawy, objaśniające jej cele:

„Tym sposobem zamierza komitet urządzający wystawę osiągnąć cel podwójny: a to z jednej strony przyczyniając się do poznania ludu dać nauce pole do czynienia spostrzeżeń i badań, z drugiej zaś strony wywiązać się z zadania statutami Towarzystwa tatrzańskiego wskazanego, tj. przyczynić się do podniesienia przemysłu domowego, w tych okolicach, dając poznać prawdziwą wartość takowego, zwracając uwagę na liczne wyroby, które tylko wydoskonalenia oczekują, aby stać się obfitem źródłem dochodu dla ludu — jakoteż rozbudzić zamiłowanie do zajęcia się tem wszystkiem, co się odnosi do podniesienia jego dobrobytu przez wykazanie osiągniętych przezeń rezultatów pomimo braku wszelkiej w tym kierunku pomocy i zachęty."

Do poparcia tych szlachetnych celów wzywać nie potrzebujemy. Sądzimy iż znajdzie się niejeden mecenas, który podąży z pomocą materjalną, a wszyscy wykształceni mieszkańcy okolic czarnohorskich, zechcą przyczynić się współudziałem w wystawie.

* * *

Panie Bliziński! a gdzie jest komedja?

Ogromna posucha panuje na scenach polskich. Oryginalnych rzeczy a dobrych czuje się brak dotkliwy i wszędzie posiłkują się tłumaczeniami i przeżuwaniem dawnych a dobrze już znanych utworów. Obiecanek mnóstwo a tymczasem nic prawie się nie okazuje... wyczekujemy ciągle, czegoś dobrego, a przynajmniej lepszego. Dochodzą wieści, że pan masz coś w tece przygotowanego, opowiadają już sobie treść sztuki, opisują figury, które tam wchodzą. Są tacy, którzy twierdzą od paru miesięcy, że już widzieli całą komedję gotową, a tymczasem nie spotykamy się z nią dotąd na afiszach.

Panie Bliziński! a gdzie jest komedja?

* * *

Przykre wrażenie wywarła w zeszłym tygodniu sprawa p. Abrahamowicza Dawida, który porwany polemicznym zapałem od pewnego czasu, wziął sobie za przedmiot pocisków pana Hausnera.

Niedawno w „Rolniku" krytykując projekta finansowe znanego posła, dopuścił się w wywodach swoich wyraźnych przekręceń jego wywodów. Krytyka ta wywołała sprostowanie ze strony pana Hausnera, a słowa jego są w tym wypadku bardzo charakterystyczne.

Pan H. cytuje ustępy z polemiki pana Abrahamowicza i kończy je zwykle ustępem stereotypowym: „nie ma słowa prawdy w tem całem twierdzeniu."

Najoczywiściej wynika ztąd, że p. Abrahamowicz mija się z prawdą.

Dziwi nas bardzo, że człowiek zajmujący tak poważne stanowisko posła — może dopuścić, aby mu publicznie zarzut tego rodzaju robiono, i dziwi nas społeczeństwo, które nad takiemi sprawami przechodzi do porządku dziennego, o wszystkiem zapominając. Po takiej tolerancji pan Abrahamowicz może na serjo nabrać przekonania, że nie jest Dawidem Abrahamowiczem, lecz Goliatem Samsonowiczem.

* * *

Od autora komedji konkursowej „Zabiegi" otrzymujemy list następujący:

Szanowny Panie Redaktorze.

Czuję się w obowiązku podziękować całej prasie lwowskiej, za serdeczne przyjęcie i gorącą obronę komedji mojej — p. t. „Zabiegi."

Sądzę że pierwszy wyłom zrobiony, — komedja polityczna ukazała się na polskiej scenie i wywołała żywą dyskusję.

Zarzuty czynione mi przyjmuję z uznaniem a przyrzekając zastosowanie się do słusznych uwag nadmieniam, że chcąc przemawiać do nas i dobitnie wykazać nasze błędy, należy używać farb żywych bez względu na to, czy kolory ich są mniej, lub więcej jaskrawe.

Skutkiem stuletniej naszej niewoli i zaprzeczenia nam praw do życia społeczno-politycznego, — kochaliśmy i słusznie ojczyznę, jak ubóstwioną kochankę, za którą z rozkoszą oddawaliśmy w danych razach życie, nie nauczeni i nieprzyzwyczajeni do pracy dnia, na zapewnienie jej bytu i potęgi.

Idealna miłość, koleją rzeczy zmieniła się u wielu w sentymentalizm, który rad zastępuje frazesem prawdziwe uczucie... I szafowaliśmy frazesami nad potrzebę i miarę, nie myśląc o rzetelnych obowiązkach względem kraju.

Czasy się zmieniły, — życie konstytucyjno-autonomiczne otworzyło szerokie pole do urzeczywistnienia wygłaszanych apostrof na cześć ojczyzny, a mimo to, z licznemi wprawdzie wyjątkami frazes został po staremu, głównym objawem miłości kraju.

Pisząc komedję polityczną musiałem się na wstępie spotkać z temi frazesami i walkę z niemi stoczyć na scenie. Być może żem tego nie zrobił dość zręcznie, lecz głosy dochodzące do mych uszu mówią o wrażeniu.

Kwestja ta, stała się głośną — i została uczciwie podjętą przez całą, ze wszystkich obozów, naszą prasę; a jeżeli rezultatem tej walki będzie to, że frazesa umilkną choć w drobnej części, na rzecz pracy i czynów, — zostanę aż nadto wynagrodzonym.

Miłość ojczyzny, jako idealnej kochanki, zmieniajmy na więcej realistyczne przywiązanie, zasadzające się na pracy nad utrzymaniem bytu, zdrowia i sił ukochanej, — a wtedy w miejsce frazesów co raz więcej będziemy słyszeć o sprawozdaniach z czynności zgromadzeń i jednostek. Czyny za nas mówić będą, — frazes jako niepotrzebny — umilknie.

Nie wątpię, że w uprawianiu komedji politycznej polskiej, znajdą się godniejsi odemnie, i z większym talentem pisarze; ja się tem pocieszam żem pierwszy wystąpił do walki.

Z głębokiem poważaniem
Autor komedji „Zabiegi".

* * *

Pozwolimy sobie popełnić małą niedyskrecję, przytaczając ustęp z listu prywatnego...

Znanym jest dobrze wszystkim obrazek kredkowy Wojciecha Grabowskiego, przedstawiający chłopaka, który przez ciernie wspina się na szczyt góry, stoi nad przepaścią i wyciąga z ekstazą ręce ku gwieździe jasno na niebie świecącej.

Jestto jeden z najmilszych i najsympatyczniejszych szkiców młodego artysty, bawiącego obecnie w Rzymie.

Na Rok nowy posłano mu listowne życzenie z alluzją do tego obrazka i oto urywek tego listu:

„W balladach szkockich spotyka się słuchacz z przecudną postacią niewieścią, — „Kilmeny" — z dziewicą, którą srebrzysto mglista poezja brzegów jeziora wyprowadziła z progu rodzinnego...

Urok ten wodził ją po górach i dolinach, po tej całej krainie czarów i cudów, o której śpiewa Ossyan, bard „Króla wysp" Fingala.

Po latach zaledwie, „Kilmeny" wróciła pod strzechę ojczystą — ledwie już zapamiętana, ledwie znana — ale zawsze dziewicza tak i tak czysta, jak promień księżyca, który przez okienko patrzył do wnętrza chaty.

Walter Scott napisał o tem wszystkiem balladę po angielsku.

William Black, „mierny" malarz, a jeszcze „mierniejszy" pisarz, stworzył romans ze swojego życia, w którym bohaterce dał poetyczne imię „Kilmeny" i który nie może być przetłumaczonym na język polski, bo się nie opłaci. Romans ten jest wydrukowany w wydaniu Tauchnitza w Lipsku, jako Vol. 1437. Przeczytanie jego polecam każdemu artyście.

Na str. 359 znajdzie on tłumaczenie górnoszkockiej (gaelskiej) pieśni, dokonane po angielsku prozą.

Nie umiejąc *dość* dobrze po gaelsku, a nie umiejąc *zupełnie* wierszować, tłumaczę prozę angielską na polską prozę.

Tak mówi góralska ballada szkocka:

„Był raz chłopak, który zwykł był nocami włóczyć się po całej okolicy — Chłopak ten zakochał się w gwiazdce. I rzekł:

O piękna, mała gwiazdeczko! Zejdź do mnie i bądź mi towarzyszką — chodź ze mną przez cały świat, przez wszystkie światy!

Ale, idąc dalej, cklopak spotkał się z błędnym ognikiem. I rzekł: O ty cudowny płomieniu! Płomieniu, co spozierasz na mnie tak gorąco i masz tak bujne włosy, błyszczące brylantami! Nie widziałem nigdy nic równie pięknego. Płomyku czerwony, bądź mi towarzyszem, pójdź, przejdź ze mną cały świat i wszystkie światy!

I poszedł chłopak z Błędnym Ognikiem przez cały świat i przez wszystkie światy.

Ale naraz Błędny Ognik błysnął raz w górę, raz znowu na dół, pomigotał, poświecił chwilkę jaśniej, potańczył w powietrzu — i — znikł w końcu za płotem.

Chłopak zaś został sam, bez światełka. Spojrzał w prawo, w lewo, w górę i na dół — nie ujrzał ani iskierki i ciemno mu było na świecie!...

Aż zwrócił oczy w niebo. I — patrz! Tam, na przezroczu sklepionem, świeciła, jak przed laty, jego gwiazdeczka! Taka skromna, a tak łagodnie błyszcząca, jak dawniej! I rzekł:

O piękna, mała gwiazdeczko! O gwiazdko jasna a łagodna! Czy przebaczysz mi, że dojrzeć ciebie nie umiałem i czy będziesz mi przyświecała, jak przyświecałaś za młodu? I czy pozwolisz mi patrzyć na ciebie i kochać cię na zawsze?

Tyle słów piosenki góralskiej. Każdy artysta ma gwiazdkę i każdego uwieść może i musi niejeden „Błędny Ognik".

„Chłopakowi, któremu ciernie nogi kaleczą i który u brzegu przepaści w gwiazdkę swoją się wpatruje", zasyła to prozaiczne tłumaczenie pięknej poezji, najokrutniejszy prozaik

Jan Lam.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

(Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego przez dra. Antoniego Małeckiego. Lwów — 1879 — Tom I. str. 490 — Tom II. str. 546 8°

Czapka z głowy panowie! Mamy przed sobą dzieło poważne nie tylko nazwiskiem autora, nie tylko wielkiemi — jak na gramatykę rozmiarami, ale też i treścią swoją i długiemi dwudziestoletniemi studjami, z jakich powstało. Wyczerpująca krytyka tej najnowszej pracy prof. Małeckiego byłaby sama całem dziełem. O nią więc kusić się nie możemy — a zmuszeni jesteśmy poprzestać na kilku tylko uwagach.

Przedewszystkiem zaś — jak autor w przedmowie — tak też i tutaj zaznaczyć należy, iż dzieło to jest zupełnie odrębnem od dawnej „większej" gramatyki tegoż autora, iż nie jest wcale rozszerzeniem tylko książki, dla użytku szkół napisanej. Jest to praca zupełnie nowa, w pełnem tego słowa znaczeniu ściśle naukowa, przeznaczona nie dla praktycznego użytku jako podręcznik, ale zbierająca w całość owoc długoletnich, a gruntownych studjów lingwistycznych. Wpłynęło to nie tylko na rozmiary książki, ale też i na samą metodę traktowania przedmiotu. W podręczniku rzecz się głównie rozchodzi o przystępne podanie samych już wyników umiejętnego badania, w formie przeważnie dogmatycznej — tutaj autor przeprowadza czytelnika prawie przez całą tę mozolną drogę, jaką sam musiał przebywać, zanim doszedł do owych wyników. Tam główną rzeczą jest reguła, — tutaj zaś zupełnie wyczerpujące reguł gramatycznych uzasadnienie. Wynikła ztąd i różnica w samym układzie dzieła: gdy bowiem w szkolnej książce naturalnie najwięcej miejsca zająć musiała flexja, tutaj cała waga spoczęła w głosowni a jeszcze więcej w etymologji. Te dwie partje zajmują też razem prawie połowę całego dzieła. Odpadła zaś nauka o wierszowaniu, która w szkolnej książce jako dodatek była umieszczoną, a tutaj byłaby zupełnie zbyteczną. Podział książki naturalnie sam się nasuwa: rozpoczyna ją głosownia, która zapoznaje z istotą i własciwościami poszczególnych głosek — z tej rozwija się nauka o formach (flexja) obejmująca odmiany części mowy odmiennych — część trzecia zawiera etymologję, więc naukę jak i z czego urobiły się w polskim języku wyrazy i wszelkie formy — czwarta naukę o partykułach, czyli częściach mowy nieodmiennych — piąta składnię, czyli naukę o zdaniu — szósta wreszcie pisownię.

Nazwa „historyczno-porównawcza gramatyka" jest w dziele całem najzupełniej usprawiedliwiona, szczególniej zaś w etymologji, którą autor widocznie z największem opracował zamiłowaniem. Każdy szczegół dzisiejszego stanu naszego języka, każdą formę gramatyczną, przeprowadza autor historycznie od samego pnia starosławiańskiego albo jeszcze i sanskryckiego przez cały dalszy rozwój i przez wszystkie w toku wieków powstałe odmiany, a przy uzasadnieniu swych twierdzeń, powoływa się też nieustannie na pobratymcze słowiańskie albo inne indo-europejskie języki. Pod jego piórem mowa polska wydaje się jakoby żyjącą jakąś istotą, która nam się w oczach rozwija, kształci, udoskonala — a pomimo tak bardzo suchego przedmiotu, wykład jest nadzwyczaj ożywiony, ciepły, świadczący o wielkiej dla mowy ojczystej miłości, która też i czytelnikowi się mimo wiedzy udziela. Do ożywienia przedmiotu przyczyniają się wielce liczne ustępy polemiczne, nie bez silnej dawki soli attyckiej, a skierowane głównie przeciw „wielkopolskiemu gramatykowi", x. Malinowskiemu, któremu się dostają ostre przymówki za jego pochylone *a*, jego *jich, jim*, jego pomysły nowej grafiki polskiej. Etymologji prof. Małeckiego szczególną wartość nadaje ta okoliczność, iż nie puszcza on się na szerokie pole domysłów nieraz bardzo fantastysznych, jakiemi się zabawiają niektórzy filologowie, ale opiera swą naukę na ściśle pozytywnych, historycznych podstawach — a powtóre to, iż wcielił do etymologji bardzo obszernie i szczegółowo opracowaną genezę deklinacji i konjugacji, przez co cała nauka o flexji staje przed czytelnikiem w zupełnie nowem i o wiele jaśniejszem świetle, i genetycznie się

w oczach jego rozwija. Jest to niezaprzeczenie najznakomitsza część tej pracy.

Nie można wątpić, że gramatyka ta wywoła ożywione spory lingwistyczne, do których zresztą sam autor wspomnianemi już wycieczkami polemicznemi wyzywa. Są ludzie, którzy wszelkie badania filologiczne dość lekko cenią, a spory filologów naszych zazwyczaj bezowocnemi nazywają. My się do nich przyłączyć nie możemy. Ktokolwiek — chociażby nie fachowy — przeczyta książkę prof. Małeckiego, przyznać musi jak wielkiej wagi sprawą jest gruntowne zbadanie języka ojczystego, jego historycznego rozwoju — ochrona tego owocu cywilizacyjnej pracy narodu przed wszelkiem skażeniem. Owe zaś lekceważone spory filologów naszych, to jeden z najdzielniejszych środków dojścia do zupełnego rozjaśnienia tysiącznych kwestji językowych, które bardzo jeszcze są dalekie do rozwiązania, szczególniej w polskiej gramatyce, dopiero w ostatnich latach z naukową ścisłością badanej. Niech się w ten sposób krzewi nietylko znajomość ale też z nią razem i miłość ojczystego języka. Toż nie mamy dość słów wdzięczności i uznania dla szan. profesora, który tak znakomitem i gruntownem dziełem naukową naszą literaturę wzbogacił. A niechże nam wolno będzie wyrazić jeszcze nadzieję pewną i życzenie. W ostatnich latach prof. Małecki przeważnie oddał się pracy około tej gramatyki, którą wziął sobie prawie za zadanie życia. Dokonawszy tego ważnego dzieła — nie zapomni on zapewne, że wykształcony nasz ogół jeszcze jednej jego pracy niecierpliwie oczekuje: historji literatury polskiej, do której tak obfite, od tak dawna opracowywane posiada materjały, a której dzisiaj w Polsce nikt może z taką jak on kompetencją nie mógłby napisać. Toż spodziewamy się, iż nie długo nam przyjdzie czekać na pierwsze tomy tej tak bardzo potrzebnej pracy. — *T. R.*

TEATR.

„Ubóstwiona“ z francuskiego pp. Christoful i Stapleau. „Po kweście“ nieznanego autora. „Trzy Flory“ pani Samolińskiej z Chicago. «Takich więcej» p. Wdowiszewskiego.

„Ubóstwiona“ należy do rzędu komedji, których celu zupełnie pojąć nie możemy.

Utwór dramatyczny, żeby miał rację bytu, musi być albo dziełem sztuki, rzeczą piękną, która jak piękny utwór, posąg albo dzieło muzyczne działa na umysły i zadawalnia nas swą poezją, pięknemi liniami, harmonią barw i tonów.

Albo też musi mieć tendencją wybitną i uczciwą. Wtedy przyczynia się dzieło dramatyczne do wypełnienia jednego z zadań teatru, — nauczania, podawania przykładów w formie wprost do widzów przemawiającej.

„Ubóstwiona“ ani w jednym ani w drugim kierunku nie odpowiada tym zadaniom.

Jest to sobie najzwyklejsza komedja w francuskim stylu, z farsowatym w wielu miejscach zakrojem, a nadspodziewanie wszelkie dramatycznie zakończona.

Naturalnie, że wiarołomstwo żon jest głównym tematem. Para kobietek wchodzących do tego szeregu ciągle się przesuwa przed oczyma widzów. Jedna z nich, najspokojniej w świecie, w oczach prawie męża, zabawia się z kochankami, a druga na początku sztuki jest wzorem uczciwej kobiety. Mimo że kocha młodego i pięknego hrabiego... mimo że ma męża chorego, który nawet na scenie się nie ukazuje, bo leży złamany chorobą, mimo to, wszelkie miłośne zapędy, natrafiają na opór nie do przezwyciężenia. Kochanek ginie prawie, jako sentymentalna istota, z rozpaczy — aż nareszcie zdobywa się na krok stanowczy, rzuca się przed „Ubóstwioną“ na kolana i z emfazą samobójcy zapewnia, iż albo ją mieć musi, albo jutro życie sobie odbierze.

„Ubóstwiona“ temu wezwaniu już się oprzeć nie może i rzuca się w objęcia, zupełnie zadowolonego kochanka.

W każdym razie, jest to bardzo ładny sposób zdobywania sobie żon cudzych; uczciwe o ile nam się zdaje, inaczej postępują.

Podobną scenę widzieliśmy już gdzie indziej, nie przypominamy w której sztuce. Młodzian rzucając się na kolana, przykłada rewolwer do skroni i woła:

— Pani — czy, będziesz moją, — bo inaczej! —

— Nie, panie nic z tego nie będzie — odpowiada rezolutna osóbka.

— A no to i z tego nic nie będzie — odpowiada kochanek, chowając broń zabójczą do kieszeni.

Lecz „Ubóstwiona“ innego usposobienia; ulega — Para kocha się na zabój, a gdy kochanek odjeżdża do Petersburga jako członek ambasady, to przysięgają sobie wierność dozgonną. Tymczasem naturalnie po kilku miesiącach, następuje zmiana frontu, kochanek w odległości mil kilkuset zapomina o dawnej miłości i chce się żenić z bogatą dziedziczką dyrektora poczt moskiewskich. W tym czasie umiera mąż „Ubóstwionej“ i zjawia się ona naraz w Petersburgu, jak *deus ex machina,* żąda wypełnienia dawnych przysiąg, a gdy się dowiaduje o wiarołomstwie, przebija sobie serce nożem do rozcinania kartek i denuncjuje umierając kochanka swego jako zabójcę.

Pomysł ten jest tak zabawny, że dramatyczna ta ostatnia scena robi komiczne wrażenie na widzach.

Główna rola przypadła w udziale pani Parżnickiej, która się z niej wywiązała doskonale i zdołała dobrze wyzyskać wszystkie efekta włożone przez autorów w postaci „Ubóstwionej“: Ostatnia tylko scena wypadła nieco za słabo — lecz najlepszemu artyście trudno wybrnąć z niefortunnej sytuacji, w której autorowie go stawiają. Jakże tu robić tragiczne wrażenie, kiedy sytuacja do śmiechu pobudza.

Pan Lubicz miał rolę zupełnie odpowiadającą swemu usposobieniu, więc grał z życiem i werwą. Biedny p. Ładnowski, jak mógł tak udawał głupiego dość ale natomiast bardzo sentymentalnego kochanka.

Na zakończenie roku dawano w teatrze „potpourri“ z rozmaitych urywków, a między niemi oryginalną jednoaktówkę: „Po kweście“. Autor nie dał swego nazwiska, widocznie przez skromność i to mu bardzo chwalimy. Rzeczy tak błahe i tak marne, mogą już teraz chyba zabawić trzynastoletnie wyrostki. Żeby choć jedna myśl nowa, jedna nowa sytuacja. Wszystkie postacie naciągane, nieprawdziwe a w dodatku treść zupełnie nie zajmująca. Dziwi nas, że autorowie jeszcze się teraz puszczają na przedstawienie owych konwencjonalnych niewiniątek, w krótkich sukienkach, o widocznych pończoszkach, które mizdrzą się na scenie jako stare panny, powtarzają wyuczone na pamięć naiwności i robią wrażenie kokotek które się po ulicy włóczą z kajetami w ręku, czeszą włosy *á l'enfant,* a twarz bielą i różują na pół cala grubości.

„Trzy Flory“, komedja 5 aktowa pani Samolińskiej, polecona do grania przez komisję konkursową krakowską, zwracała uwagę na siebie szczególniejszą tem, że autorka jej. jest Polką zamieszkałą od dzieciństwa w Stanach Zjednoczonych. „Trzy Flory“ są farsą dość pospolitą, niewiele nowych stron życia poruszającą — ale farsą bez tłustych konceptów francuskich — bez zbyt wielkich nieprawdopodobieństw a mimo to we wszystkich aktach spotkać się można z szczerze komicznemi sytuacjami, dobremi dowcipami i djalogiem pełnym życia i werwy. Temat jest nie nowy — bo całe zawikłanie powstaje z *qui pro quo,* spowodowanem dwiema Florami żywemi i jedną marmurową.

„Takich więcej“ dwuaktowa komedja p. Wdowiszewskiego, należy do zupełnie innego rzędu. Przedewszystkiem jest na wskróś tendencyjną. Autor przedstawia postępowego rzemieślnika w przeciwieństwie do majstra starej daty, i w sposób bardzo zręczny uwydatnia, w wązkich ramach sztuki, potrzebę zmiany w naszych stosunkach rzemieślniczych. „Podolak“ rzemieślnik pracowity, zdolny, wykształcony, wychodzi jako zwycięzca w walce życiowej i ogólne wrażenie które widz ze sztuki odbiera, zawiera się w słowach tytułowych: takich więcej. Pan Wdowiszewski znany już nam dobrze z innej sztuki również tedencyjnej: „Henryk Bodmer“ obiecuje bardzo wiele na polu dydaktycznej komedji. Znać w nim człowieka umiejącego porządnie i uczciwie myśleć i jasno swe myśli wypowiadać. Sądzimy że komedja „Takich więcej“ przez długi czas nie zejdzie z repertuaru — a powinna ona być często dawaną szczególniej w święta, kiedy rzemieślnicy do teatru uczęszczają.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Anczyc Wł. L.* Księga sławniejszych odkryć geograficznych, podług najnowsszych źródeł zebrane. Wydanie trzecie 8. str. 253. Warszawa 1880. Kartonowane 2 zł.

— *Bajki, powiastki i przypowieści* różnych autorów, wierszem. Wydanie ozdobione 48 drzeworytami. 8. str 100. opr. Poznań 1880. 1 zł. 5 ct.

— *Daudet Alfons.* Ten mały. Powieść. Przekład Wincenty Limanowskiej. 8. str. 352. Lwów 1880. 1 zł. 50 ct.

— *Dziwne przygody* Helenki i Kazia. Zabawna historja w kolorowanych obrazkach przedstawiona. 4. Warszawa 1880. 1 zł. 25 ct.

— *Grudziński Stanisław.* Powieści ukraińskie. 2 tomy 8. str. 342 338. Warszawa 1880. 3 zł. 35 ct.

— *Kamocka Józefa.* Krótki wykład katechizmu jako podręcznik dla matek, według planu i wskazówek ks. K. Wnorowskiego. 8. str. 129. Warszawa 1880. Kartonowane 55 ct.

— *Korczyński Tadeusz.* Skutki piętnastoletniej regulacji Sanu. 8. str. 14. Przemyśl 1880. 20 ct.

— *Kraszewski J. I.* Herod Baba. Opowiadanie dziadka. 8. str. 264. Warszawa 1880. 2 zł.

— *Lalka Stasi.* Obrazki z wierszami. 4 Warszawa 1880. 85 ct.

— *Lewicki Dr. Anatol.* W sprawie ogródków Freblowskich. 8. str. 18. Lwów 1878. 20 ct.

— *Liczebnik w obrazkach.* 4. Warszawa 1880. 85 ct.

— *Likowski X. Edward.* Dzieje kościoła unickiego na Litwie i Rusi w XVIII. i XIX. wieku uważane głównie ze względu na przyczyny jego upadku. 4. str. 405. Poznań 1880. 4 zł. 50 ct.

— *Lignori Alfons św.* Jak żyć powinien Chrześcjanin Tłumaczenie O. Prokopa Kapucyna. 16. str. 184. Warszawa 1880. 45 ct.

— *Lignori Alfons św.* Sposób ciągłego obcowania z Bogiem. Tłumaczenie O. Prokopa Kapucyna. 16. str. 137. Warszawa 1880. 35 ct.

— *Malcz Dr. Mieczysław.* Metoda inhalacyjna środków lekarshich. 8. str 9. Warszawa 1879. 70 ct.

— *Małecki Dr. Antoni.* Gramatyka historyczno-porównawcza języka polskiego. 8. 2 tomy. str. 481. 546. Lwów 1879. 6 zł.

— *Podarek dla grzecznych* chłopczyków. Książeczka obrazkowa z wierszykami. 4. Warszawa 1880. 85 ct.

— *Podarek dla małych* panienek. Obrazki z wierszykami. 4. Warszawa 1880. 85 ct.

— *Prokop O. Kapucyn.* Święta Germana, pasterka, opowiadanie dla ludu wiejskiego. 16. str. 125. Warszawa 1880.

— *Reklam Karol.* Nauka zachowania zdrowia i zdolności do pracy. Przekład Wacława Mayrta. 9. str. 504. Warszawa 1880. 4 zł. 20 ct.

— *Tłoczyński Ks. Apolinary.* Żywot Jezusa Chrystusa Pana i Zbawiciela naszego. Według czterech ewangelii. Wydanie ozdobione 45 drzeworytami. 8. str. 144. Poznań 1879. 72 ct.

— *Wesołe kotki.* Rozrywka dla małych dziatek z 6 kolorowanemi obrazkami. 4 Warszawa 1880. 1 zł. 25 ct.

— *Zabawy po szkole.* Książeczka obrazkowa z wierszykami. 4. Warszawa 1880. 85 ct.

— *Zachariasiewicz Jan.* Romans Pana Michała. Powieść. 2 tomy w jednym. 8. str. 146. Warszawa 1880. 2 zł. 25 ct.

WIADOMOŚCI z KRAJU i ze ŚWIATA.

Literatura.

*** Dwutygodnik naukowy, poświęcony archeologji, historji, i lingwistyce, w zeszycie od 15. Grudnia 1879 r. zawiera: 1. Wyroby ceramiczne przez T. Ziemięckiego. 2. Historja i systemat języków semickich Renana w obec najnowszych odkryć w piśmie klinowem, przez R. Radlińskiego. III. Badanie jaskiń z okolic Krakowa. 4. Posiedzenie akademii umiejętności w Krakowie. 5. Wiadomości.

*** — Słowniczek techniczno-kolejowy, polsko-rosyjski i rosyjsko-polski p. Ig. Kempińskiego inżyniera ukazał się na widok publiczny. Książeczka ta ma niewątpliwie wartość praktyczną.

*** Polska literatura zwraca stale uwagę niektórych dzienników rossyjskich. Na ich czele w tym względzie stoją „Nowosti“. Pismo to, rozebrawszy niedawno powiastki Okońskiego („życie“), poświęca feljeton w N-rze 318 „Lublanie“ Kraszewskiego i Sienkiewiczowi Rzecz napisana gruntownie i z wielkiem uznaniem dla zagadnień, podniesionych przez tych polskich pisarzów.

*** Wspaniały poemat Juljusza „Ojciec zadżumionych“ przełożony został na język francuski przez Gustawa Gasztowta.

*** „Siła jako ruch“, studjum z filozofji fizyki dra. Juljana Ochorowicza ukończone w ostatnim zeszycie „Ateneum“, ma wyjść wkrótce w przekładzie rosyjskim p. Józefa Szczepańskiego. prof. mechaniki w Saratowie.

*** Londyńskie „Ateneum“ ogłasza, iż dnia 29-go b m. rozpocznie szereg artykułów o literaturze kontynentu w r. 1879.

Dział literatury naszej ma sprawozdawcę w znanym pisarzu d-rze Bełcikowskim.

*** W znanem czasopismie lipskiem: „Magazin für die Literatur des Auslandes“ znajdujemy artykuł: „O poezji dramatycznej polskiej.“

Autor widocznie obeznany dokładnie z ruchem literackim i scenicznym u nas, zaczyna od wywodu, iż cechą naszej poezji dramatycznej jest eklektyzm, pochodzący ztąd, iż stulecie obecne, w którem dramat nasz począł się rozwijać, odmówiło społeczności naszej tego spokoju wewnętrznego i równowagi duchowej, które są niezbędnemi czynnikami samodzielnej twórczości na niwie dramatu.

Z tego punktu widzenia autor ze czcią należną geniuszom, ocenia „poematy dramatyczne“ Słowackiego i Krasińskiego.

Fredro stoi dotąd — według autora artykułu — odosobniony. W pogrobowcach jego nie widać odpowiedniej siły do snucia tradycji tego pisarza. Fredro syn zastępuje pierwotną ojcowską: „vim comicam“ igraszkami śliskiego dowcipu.

Korzeniowskiemu przypisuje autor zasługę, iż w „Karpackich góralach“ pierwszy zstąpił do ludu i wskazał tę żyzną niwę.

Najobszerniej zastanawia się krytyk nad tragedjami Szujskiego. Uwagi jego są nader trafne. Historjozof zaszkodził poecie, który miał wszelkie warunki intelektualne, ażeby stworzyć wspaniały dramat. Podobnie Asnykowi zaszkodził na tem polu liryk El...y.

W zakresie komedji najwyżej postawiono Narzymskiego, którego utwory, jako prawdziwe dzieła sztuki, pomimo swej tendencyjności, przetrwają pokolenia.

Z żyjących komedjopisarzy krytyk niemiecki przyznaje prym Kazimierzowi Zalewskiemu, podnosząc jego poważne i wytrawne traktowanie sztuki. Tuż obok dopiero stawia Blizińskiego, zarzucając mu „karykaturalność typów“; w tej jednej charakterystyce pomylił się niemiłosiernie autor, którego to chyba usprawiedliwia, iż jako cudzoziemiec nie umiał odczuć swojskości i prawdy serdecznej tych typów.

Mówi on jeszcze o Bałuckim, Sewerze i Koziebrodzkim, wymieniając również nazwiska Łubowskiego i Sarneckiego.

Nauka.

*** Hr. J. Mielżyński oddał zarządowi towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu nowowybudowany gmach dla muzeum imienia Mielżyńskich

*** Na Zielone Świątki gotuje się w podwawelskim grodzie wspaniała uroczystość naukowa: jubileusz ojca historyków naszych, Długosza.

W dniu tym zwłoki Długosza pomieszczone zostaną w nowym sarkofagu na Skałce.

Akademia umiejętności połączyła z tem pamiątkowem świętem kongres międzynarodowy historyków i archeologów.

Po raz pierwszy na wezwanie polskiego ciała uczonego zgromadzą się przedstawiciele nauki zagranicznej do wspólnych obrad nad posunięciem powszechnej wiedzy o jeden krok naprzód.

A i to dla nas miłe, że uczony świat zagraniczny złoży zasłużony hołd pierwszemu twórcy dziejopisarstwa krajowego.

Bliższe szczegóły uroczystości układa komitet w tym celu wybrany.

*** Instytut politechniczny. Pan I. G. Bloch stara się o utworzenie w Warszawie szkoły politechnicznej i na jej utrzymanie łożyć zamierza. Jest nadzieja, że przychylna decyzja władz w tej zacnej sprawie nastąpi wkrótce.

Teatr.

*** Pan W. J. Wdowiszewski, autor dramatu „Henryk Bodmer“, wykończa komedję czteroaktową p. t. „Szambelani“, którą ofiarował na benefis artysty Gustawa Fiszera.

*** W teatrze lwowskim przygotowują miłą operetkę „Dzwonki z Corneville,“ która na wszystkich większych scenach europejskich przyjmowaną była z wielkiem zajęciem.

*** W teatrze St. James przedstawiono z nadzwyczajnem powodzeniem nowy jednoaktowy dramat wierszem Alfreda Tennysona p. t. „The Falcon“.

Odkrycia i wynalazki.

*** Z Uralu. Prof. Karpiński w Petersburgu otrzymał temi dniami wiadomość o odkryciu w południowo-wschodnich stokach gór Uralskich jaskini stalaktytowej, w której znaleziono wiele czaszek ludzkich, broni kamiennej i kości zwierząt kopalnych.

*** Dzienniki angielskie donoszą iż chemik fabryki w St. Rollex, p. J. Maclean, zdołał po długich i mozolnych próbach odkryć sposób wytwarzania sztucznych djamentów. Przedłożone kompetentnym znawcom próbki posiadają wszelkie własności prawdziwych djamentów. Łamią one w wysokiem stopniu promienie, wytrzymują bardzo podwyższoną temperaturę itd. Niewiadomo tylko, czy djamenty wyrobione sposobem p. Macleana posiadają twardość prawdziwych.

*** Profesor Cope podał do akademji umiejętności w San Francisko opis dwóch niedawno odkrytych zwierząt kopalnych. Jedno podobne do Kangura, nazwanem zostało „camasaurus supremus“ Odznacza się ono potwornemi rozmiarami ciała, nogi mają 72 stóp długości. Znaleziona kość pacierzowa drugiego, które otrzymało miano „amphicaelias fragilismus,“ świadczy o również potwornych rozmiarach zwierzęcia.

Podróże.

*** „Orient“ nowy angielski parowiec pasażerski, odbył niedawno pierwszą podróż z Anglji do Australji w ciągu 37 dni i 22 godzin. Nigdy dotąd nie podróżowano tak szybko na morzu. Odległość z portu Plymouth do Adelaidy w Astralji na przylądek Dobrej nadziei wynosi około 12,000 mil morskich, z czego wynika, że „Orient“ porusza się z przeciętną chyżością 14 węzłów na godzinę.

*** Do Londyńskiego towarzystwa geograficznego nadeszła wiadomość telegraficzna, iż szwedzki okręt ekspedycyjny „Vega“ dotarł szczęśliwie do Point de Galles.

Zjawiska przyrody.

*** Ren zamarzł na całej przestrzeni od Maxau do Moguncji, co się od lat piętnastu nie zdarzyło; pod Wormacją przebywają tę rzekę wozem.

*** Wezuwjusz wyrzucał w tych dniach wielkie ilości rozpalonej lawy, która, spływając po zaśnieżonych stokach góry wulkanicznej, oświetlała je uroczo.

*** Z Algeru donoszą, iż w nocy z 13. na 14. grudnia padał tam śnieg. Pola pokryte warstwą śniegu na 30 centymetrów grubą. W Batna i Sétif również śnieg uścielił. W Ain-Beida podobna temperatura. W Ain-Takroun śnieg leży na 15 centymetrów wysoko.

ROZMAITOŚCI.

*** Owoce prowincjonalnych egzaminów na felczerów.

Scena 1-sza (u felczera na prowincji).

Izba felczerska, a raczej ogólna izba familijna przegrodzona parawanem, w której między innemi odbywają się „sui generis“ czynności fryzjerskie i... medyko chirurgiczne.

Przed mieszkanie improwizowanego lekarza zajeżdża kilka fur, na każdej z nich mieści się chory z sąsiednich przybywający wiosek, by znaleść pomoc u słynnego w okolicy „flejcera“ a podług innych „felczera“ lub „doktora“.

Scena II-ga. Żona felczera (udając zakłopotanie). Co wam się stało panie Mikołaju, czyście chorzy?

Mikołaj Adyć nieco, nie poznajeta po mnie? „Was“ byłby się wnet poznał, nima go?

Żona felczera. W tej chwili niema bo wyszedł do chorego i zaraz wraca. Ale co to wam jest takiego powiedzcie Mikołaju.

Mikołaj E co wam ta będę godać — cy mi co poradzita? „Was“ nie pyto co jest, ino spojrzy prosto w ocy i poznaje co człowiekowi doligo.

Żona felczera. Pomogę czy nie pomogę, spytać się nie zawadzi.

Mikołaj Ano to wam powiem: oto z przedźwignięcia się na polu w krzyżu mnie zabolało, nimam hapetyku do jadła i siarczyście głowa boli. Stara kowalka Matysowa godała ze te... wątrobę zazegnała i kazała przyłożyć zajęcy skrom... Wszyćko się zrobiło, jak kazała i jese mi gorzy — „Was“ by się wnet na tę choróbsko poznał, ino spojrzy w ocy...

Scena III-cia. Felczer (wysuwając się cichaczem z za parawanu, gdzie był ukryty, wysłuchawszy uważnie badanie chorego przez swoją żonę, drugiemi drzwiami wchodzi do swego... ambulatorjum) A... to wy Mikołaju (siadając obok niego i biorąc za rękę dla badania pulsu) co wam takiego jest?

Mikołaj. Juści chory jezdem.

Felczer. Że wy chorzy to ja wiem i poznam się co wam jest (spoglądając mu z wielką powagą w oczy i po krótkim namyśle), to wam przyszło z podźwignięcia mój Mikołaju.

Mikołaj. A widzita pani „flejcerowo“ ze „Was“ pytać się nie potrzebuje, ino sporzy na clowieka i juz rychtyk ..

Felczer. Macie silny ból w krzyżu.

Mikołaj. Dalibóg prawda — to mi doktór!

Felczer (z powagą). Nie przeszkadzajcie Mikołaju, głowa was także mocno boli, nieprawdaż?

Mikołaj. Adyć boli — boli, siarcyście boli, aż świeczki w oczach stanom.

Felczer. Apetytu żadnego nie macie — kiepsko z wami mój Mikołaju, za długoście czekali, pewnoście się radzili najprzód baby we wsi — z tego się wywiąże apopleksja i zapalenie... migdałów.

Mikołaj (w strachu całuje felczera w rękę). A no ratujta panie „flejcer“ przywiózem wam dwie kopy jaj, korzec ziemniaków i tłustą gęś, ino ratujta!

Felczer. Wam się postawi zaraz bańki na

karku i plecach, pijawki za uszami i w nosie, upuści się krwi z grubego palca u lewej nogi. Oprócz tego dam wam maść do smarowania rąk i nóg dwa razy dziennie i lekarstwo do zażywania co godzina kieliszek — ale zdaje mi się mój Mikołaju, że was przedni ząb boli bo taki czarny, trzeba go też zaraz wyrwać, a za wszystko razem należeć mi się będzie 7 rs. i 38 pół kop: a to coście mi przywieźli przyjmę od was za 10 złotych — resztę mi dopłacicie.

Mikołaj. Niech ta i tak będzie mój panie „flejcer“ ino duchem ratujta!

Zasłona spada.

PRABABKA JERZEGO SAND.

W połowie minionego, tak sławionego i oskarżonego zarazem XVIII-go stulecia, grasowała niezliczona ilość amatorskich teatrów, które się cieszyły niepospolitem uznaniem tak zwanego dobrego towarzystwa. Przedewszystkiem w teatrach tych grywano z tym zapałem, który nie przypadł w udziale scenom nie amatorskim, po których stąpali pewnym, artystycznym krokiem opłacani aktorowie. Siły, które się tutaj dobrowolnie bez pobierania żołdu zaciągnęły pod sztandar sztuki, składały się z aktorek cieszących się wysokiem uznaniem publiczności, z wzbogaconych i pozostających pod szczególną opieką losu metres, z wybitniejszych reprezentantów literatury, szlachty i świata finansowego. Nie mniej interesująco a również pstrokato, zbita w jedną całość, przedstawiała się publiczność zwiedzająca te amatorskie widowiska, która albo z entuzyazmem przyjmowała grających, lub też karciła ich dowcipną żartobliwością. Można się było tutaj spotkać z wszystkiem, co sobie w Paryżu zdobyło sławę, co cnotą słynęło lub też na drodze powabnego występku doszło do znaczenia. Rodowa księżniczka uginająca się pod brzemieniem sławy swych pełnych dumy antenatów, nie powstydziła się tutaj spotkać z dziewczyną wywleczoną z zakątnej uliczki przez modnego bohatera, i pasowanej przez niego na wielkość wątpliwej natury. Obalający wszystkie powagi i burzący niebiosa encyklopedysta siedział wesoło i swobodnie obok swywolnego wprawdzie lecz jednak prawowiernego abbé; próżnujący i duszony długami arystokrata obok skrzętnie pracującego i w złocie kąpiącego się finansisty. Wszelkie wrodzone i naleciałe przesądy zdawały się tutaj zacierać, wszelka różnica stanów, wykształcenia i majątku niknęła wobec niczem nieugaszonego pragnienia wymiany myśli.

To towarzystwo XVIII-go stulecia chciało tylko używać, a im bardziej zbliżała się chwila, w której miało ono uledz potędze historycznej burzy i razom obuchów przeciwko niemu rozjuszonego pospólstwa — tem gwałtowniej żądze jego się zapalały, z tem większem szaleństwem wychylało ono kielich nie zawsze czystej zupełnie rozkoszy. Towarzystwo to hołdowało duchowi, a im odważniej i czelniej duch ten je policzkował, tem serdeczniejsze i szczersze składano mu hołdy. Najszczęśliwszem i najrozpustniejszem okazywało ono się wtedy jednakże, gdy mogło na wolę wiatrów rzucić cugle, by śmiać się i weselić kosztem drugich. Żartowano więc sobie i śmiano się, aż się przekonano, z przestrachem, że podczas zabawy i rozrywek jednego towarzystwa, drugie wzrosło w siły, spotęgowało się i usunęło je z podstaw. Wesołe towarzystwo zastanowiło się więc nad swemi przesądami, przypomniało sobie teraz dopiero, że jakoby niegdyś istniała jakaś różnica stanów, która nisko urodzonych zdala trzymała od jaśnie wielmożnych. Lecz było już niestety zapóźno! Tradycje, które ono pod naciskiem nieszczęścia lękliwie odszukać chciało i które mu miały posłużyć za ochronę i obronę, zostały w proch stratowane przez Rewolucję. Towarzystwo to było bez ratunku zgubione a opanowane przestrachem poszło w rozsypkę i zostało podmuchem naszej, poważnej epoki rozproszone.

Podczas gdy jednak towarzystwo to istniało jeszcze w kwiecie życia, przedstawieniom, które się odbywały w amatorskim teatrze panien Verriéres oddawano pierwszeństwo. Obie siostry Verriéres szybko wzniosły się z najniższych szczeblów społecznych i swą inteligencją i pięknością zdobyły sobie pierwsze miejsce w rzędzie paryskich ulubienic i wykwintnego towarzystwa owej epoki. Jerzy Sand, która z ich krwi pochodziła, pisze w swych pamiętnikach, że siostry te żyły w szczęśliwym dobrobycie, wielki dom prowadziły, i choć zawsze piękne, były jednak już dość stare, aby mogły być otaczane bezinteresownem uwielbieniem. „Ta, która była moją prababką, była inteligentniejszą i milszą. Druga zaś była wspaniałem zjawiskiem. Nie wiem kto się niemi opiekował — słyszałam tylko, że nazywano ją piękną i głupią.“

Jerzy Sand, zajęta tylko pamięcią swej babki Aurory Saskiej, nie zajęła się charakterystyką starszej Verriéres, swej prababki, czego żałować wypada, gdyż portret z pod mistrzowskiej dłoni Sanda, odmalowałby pięknie i z dowcipem ową całą dziwną epokę, w której kurtyzanki najpospolitszego kalibru, do jakich i Marja Verriéres należała, wybitne zajmowały stanowisko w towarzystwie. Siostry Verriéres zaliczały do rzędu swych wielbicieli najznakomitsze imiona Francji — najliczniejsze wszelako hołdy przypadły Marji, starszej, w udziale. Karjerę swoją rozpoczęła ona jako metresa marszałka Maurycego Saskiego, którego baczną uwagę pięknością na siebie zwróciła, wówczas jeszcze jako skromna chórzystka królewskiej opery. W więcej niż smutnych stosunkach pozostając ze swą rodziną, zdaje się, że została przez ojca swego za sute wynagrodzenie oddaną pod opiekę śmiałego i zawsze zakochanego marszałka. Po urodzeniu jednej córki, która dla wyrwania jej z domu i ustrzeżenia przed gorszącym przykładem matki została przez następczynię tronu, córkę króla Augusta i siostrzenicę marszałka saskiego, powierzoną instytutowi w Saint-Cyr — Marja towarzyszyła marszałkowi podczas kampanji we Flandrji. Nie była ona jedyną wszakże tylko, której przypadł ten zaszczyt w udziale, nagradzania marszałkowi przykrych niedostatków życia obozowego. Maurycy Saski chętnie się otaczał licznym sztabem kobiet — miał też więc i we Flandrji przeszło pięćdziesiąt dam, między którymi była także późniejsza sławna Favart.

Od powrotu Maurycego Saskiego z flandryjskiej kampanji, Marja Rinteau, gdyż to było właściwe jej nazwisko, przechodziła różne koleje. Gdy pierwszy jej kochanek pojechał z wizytą do Fryderyka W. do Berlina — Marja poczuła na nowo budzący się w niej zapał do sztuki scenicznej. Marmontel, który się zajął jej wykształceniem, ułatwił jej przystęp do *Komedji francuskiej*. Wkrótce jednakże Marja tak nagrodziła go za wszystkie trudy, że aż Maurycy Saski cofnął jej dotychczasową pensję. Marmontel widząc jednak, że srodze tą stratą dotknął swą uczennicę, wystarał się dla niej o mniej korzystną opiekę księcia de Boullion w r. 1753. Tak jest — miłość zna poświęcenia!...

Przez szczęśliwe i rozsądne wyzyskiwanie swego położenia, siostry Verriéres stały się wkrótce posiadaczkami pięknego domu w Paryżu i willi. W obu tych domach budowały teatry. Obie starały się o najlepszy repertuar, złożony przeważnie ze sztuk przedstawianych w „Teatre-Français i Comédie-Italiene“, grywanych przez pierwszorzędne talenta przy głównym współudziale panien Verriéres. Pierwszymi dramaturgami tej sceny, czynnymi na niej jako poeci i aktorzy byli Colardeau i La Harpe, obaj członkowie akademji. Jedno z najbardziej interesujących przedstawień odbyło się w teatrze sióstr Verriéres dnia 6 maja 1763 roku — przedstawienie, które zarówno na dworze jak i w mieście, w świecie finansowym, dyplomacji i duchowieństwie szczególną na siebie zwróciło uwagę. Oprócz „Courtisane Amoureuse“ Colardeau'a dano komedję p. t. „La surprise de l'amour Marivaux». W tej otatniej sztuce, oprócz gospodyni domu, przyjęli udział baron van Swieten, Colardeau, pan d'Epinay i prezydent z Salabery. Sztuka Marivaux pierwotnie napisana dla Adrjanny Lecouvreur i Quinault-Dufresne, nie mogła zdobyć sobie w „Komedji Francuskiej“ pierwszorzędnego powodzenia, a to z przyczyny zbyt tragicznych ról głównych. Gdy później role te przeszły na panią Grandval i Préville'a, sztuka doczekała się niopisanego powodzenia. Mimo więc porównań z przedstawieniem w Komedji francuskiej, które świeżo jeszcze wszystkim w pamięci tkwiły i same przez się na myśl nasuwały — przedstawienie w amatorskim teatrze zyskało jednogłośne pochwały spotęgowane uroczą grą obu panien Verriéres. Cały wiersz zresztą dostarczał materjału dla drastycznie działającej komedji. Była metressa Maurycego Saskiego grała w sztuce, która została napisaną dla Lecouvreur, najsłynniejszej metresy marszałka. Co za gra przypadku i miłości! Między innymi grającymi odznaczył się szczególniej pan d'Epinay. Muzykę do dwu „divertisements“ w tych komedjach skomponował bogaty i szatańsko-piękny Dupin de Francueil, który jakkolwiek szczęśliwy w małżeńskiem pożyciu, w najserdeczniejszych pozostawał stosunkach z małżonką pana d'Epinay, a później, po wielu latach połączył się po raz drugi ślubem małżeńskim z Aurorą Saską, córką Marji Verriéres!...

Rok za rokiem szybko pospieszał, a Marja zbierała owoce z drzewa poznania dobrego i złego. Córka jej Aurora (przybyła na świat ze stosunku z Maurycym Saskim) po śmierci swej opiekunki, następczyni tronu, powróciła do matki jako 19-letnia kobieta, a już wdowa od trzech lat po hr. Hornie, nieprawym synu Ludwika XV-go. Drugiem dzieckiem Marji był Chevalier de Beaumont, syn księcia de Bouillon, który zrazu cieszył się opieką swego życiodawcy, gdy jednakże raz na drodze miłosnych podkopów syn z ojcem zaczął rywalizować, książe prawie przemocą umieścił młodego kawalera w klasztorze.

Kawaler Beaumont podobno nadzwyczaj szanował i kochał swą matkę, której wysokie przywiązanie do syna maluje się w listach pisanych do niego za pobytu jego w zakonie. Listy te były pełne wzruszającej czułości i stanowią swą szlachetnością stylu i myśli dziwne przeciwstawienie do zwykłego, pełnego zabaw i przyjemności życia Marji Verriéres. Oto wyjątek jednego z tych listów:

«...W chwili, w której się cały oddajesz praktykom pobożnym, znajdujesz mnie zawsze przy swym boku, a jeżeli to z przyczyny mego oddalenia nie jest prawdą w rzeczywistości, to jest nią przynajmniej przez moje stałe życzenie i dobre chęci. Modlę się z tobą, modlę się za ciebie i podpieram twe ramiona, mój najukochańszy Mojżeszu, gdy je podnosisz do Pana! Podnoś je często za twoją biedną matkę i nie dozwól mi upaść, aż nie znajdę miłosierdzia...»

Mimo piękności i uroku zbliżał się coraz bardziej ów najfatalniejszy czas dla kobiet swawolnych — starość, a za nią w ślad idąca śmierć. Młodsza Verriéres wstąpiła 1774 do klasztoru w Sainte-Aroie, gdzie ją kilkakrotnie odwiedzała Marja. Odwiedziny te wszelako nie długo potrwały, gdyż Marja Verriéres została niespodzianie 1775 roku zaskoczona śmiercią. Siedziała w fotelu przy kominku, gdy sen ostatni zamknął jej niegdyś piękne i płomieniste oczy. Syn jej, który ją ubóstwiał, silnie został dotknięty tym ciosem. Gdy się już zestarzał — powiada Jerzy Sand — zwykł był często mówić, że znał dużo pięknych kobiet, ale żadna z nich nawet w przybliżeniu nie mogła się porównać pod względem gracji, łagodności, intelligencji i dobroci z jego nieodżałowaną pamięci matką. Marja Verriéres dzieciom swym nie pozostawiła żadnego majątku. Co zebrała z biegiem lat, wszystko to poszło na wystawne życie, na przyjemności, którym się oddawała z namiętnością. Aurora Saska, z pensji, która jej pozostała po ciotce, mogła zaledwie znaleść skromne pomieszczenie w jednym z klasztorów — a Chevalier de Beaumont, brat jej, zawsze jeszcze z Paryża gniewem ojca swego, księcia de Bouillon, dotknięty, był zmuszony pełnić funkcje wikarego w małem probostwie normandzkiem.

Aurorze Saskiej, hr. Horn, nie długo wszelako przeznaczonem było siedzieć za ponuremi murami klasztoru. Wspomniany już powyżej Dupin de Francueil, pospieszył do niej, zakochał się po uszy i w 62-im roku życia połączył się z 30-letnią kobietą. Małżeństwo to było bardzo szczęśliwe i dało życie Maurycemu Dupin, który później miał zostać ojcem Jerzego Sanda.

Jerzy Sand, jak niegdyś jego prababka Marja Verriéres, posiadał również w swym zamku Nohant teatr. Między dwoma temi teatrami jednakże istniała wielka różnica. Dama z zamku Nohant, sztuki, które miano grać na jej teatrze, sama tworzyła, nie przyjmując żadnego udziału w ich wykonaniu. Aktorzy byli zazwyczaj tylko pospolitemi marjonetkami, których sznurki pociągał ostrożnie jej syn Maurycy.

Na tem kończy swój świeży historyczny obrazek M. L. Herzel, z którego pracy tu korzystaliśmy. *F.*

Pan A. D. Bartoszewicz z dniem 1. stycznia 1880 r. wystąpił z redakcji *Tygodnia Polskiego*, przestając być zarazem współwłaścicielem tego czasopisma.

Treść Nr. 2.

Z drukarni „Gazety Narodowej“ pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.